

JUSTIN SOMPER

MARTWA GŁĘBIA

Przełożył Piotr W. Cholewa

Sally, która wiele razy pomogła mi wypłynąć z głębin. To dla Ciebie.

Opisane tu wydarzenia mają miejsce między tomami Demony ocenu a Fala terroru.

Rozdział 1

Przepustka na ląd

- Czterdzieści osiem godzin! - powiedział Bart z szerokim uśmiechem. - Dwa całe dni i dwie całe noce! - dodał uradowany Jez. - Przepustka! - zawołali razem, a potem przybili sobie piątkę i pokleпали się po ramionach, wznosząc dzikie okrzyki.

Ich przyjaciel, Connor Tempest, z rozbawieniem pokręcił głową. Miał czternaście lat i należał do najmłodszych piratów na pokładzie statku Diabło. Wiek jednak nie oznaczał szczególnych względów ze strony przyjaciół, którzy przy każdej okazji próbowali sobie z niego zartować. Wiedział, jak bardzo cieszą się tą przepustką - choć oczywiście byli też oddanymi członkami załogi Molucca Wrathe'a.

- Jest tylko jedna rzecz lepsza od bycia piratem na pirackim statku - oświadczył Jez, kiedy kilka godzin wcześniej odbijali od burty. - Bycie piratem z przepustką na ląd, z masą wolnego czasu i złotem w sakiewce!

Odkąd towarzysze Connora weszli do małej łódki, dobry humor ich nie opuszczał. On tymczasem obrał kurs na pełną statków zatokę. Bart i Jez podskakiwali jak podekscytowane dzieciaki, aż jednostka zaczęła niebezpiecznie się kołysać.

- A więc... - zaczął Connor - ...to już tutaj?

- Tak! - potwierdził Bart. - Calle del Marinero... Zaułek Grzechu!

- Hmm, to nie jest dokładne tłumaczenie - poprawił go Jez.

- Całkiem słusznie, panie Stukeley. Całkiem słusznie. - Bart odchrząknął. - Oficjalna nazwa brzmi... Ulica Żeglarza.

Connor spojrział na strome, niegościnne wzniesienie widoczne za przystanią. Światło dzienne szybko przygasło, a ląd wydawał się coraz ciemniejszy i coraz bardziej nieprzyjazny.

- Gdzie dokładnie znajduje się ta ulica? - zapytał.

- Widzę tylko jakiś skalisty pas lądu. A mówiliście, że w tym miejscu jest pełno barów, tawern i w ogóle. Jak daleko musimy iść, gdy już wyjdziemy na brzeg?

- Czy pan oślepl, panie Tempest? - skarcił go Jez. - Proszę się rozejrzeć!

- Nie będziemy wychodzić na żaden brzeg - dodał Bart. - To jest Calle del Marinero, właśnie tutaj. Pływające miasto!

Manewrując małą łódką między górującymi nad nią statkami, Connor przyjrzał im się uważniej. Na pokładach dostrzegł tłumy ludzi, światła. Rozbrzmiewała muzyka: ogłuszająca mieszanina rocka, folku i trashowych szant. Poczł wzbierające podniecenie - to właśnie statki i barki były tawernami!

Nagle ujrzał przed dziobem królewską dżonkę. Každy z jej czerwonych żagli ozdobiony był sylwetką ptaka w różnych fazach lotu. Kiedy podpłynęli bliżej, Connor odczytał nazwę na burcie: Krwawa Papuga.

- Aha - mruknął z podziwem Jez. - Krwawa Papuga! Słyszałem, że załoga przyplłynęła nią pewnej nocy, aby się rozejrzeć, i nigdy nie odpłynęła.

- Napijemy się tam później - obiecał Bart.

- Napijemy się na każdym statku! - rzucił Jez.

Connor pokręcił głową. Domyślał się, co może wyniknąć z tej przepustki. Kto wie, w jakim stanie będą Jez i Bart w niedzielę wieczorem? A właśnie wtedy Diabło miał ich zabrać z Calle del Marinero.

- No, nie bądź taki zmartwiony. - Jez zwichrzył mu włosy.

- Głowa do góry, panie Tempest - dodał Bart. - Dobrze się panem zajmujemy. - Stał na burcie. - W końcu czy nie jesteśmy Trzema Bukanierami?

Connor kiwnął głową. Cate Kord, piratka z ich załogi, wymyśliła ten przydomek, który szybko się przyjął.

- Jeden za wszystkich...! - wykrzyknął Bart i jego głos zagłuszył na moment muzykę płynącą z Krwawej Papugi. Zaciekawieni bywalcy spojrzeli z górnego pokładu na niewielką piracką żaglówkę.

- ...wszyscy za jednego! - dokończyli chórem Jez i Connor, który w końcu wypatrzył miejsce do cumowania i fachowo podprowadził łódkę do drewnianego molo.

- Dobra robota! - pochwalił go Bart, zeskoczył na drewniany trap i wprawnie zaciągnął węzły.

Jez pomógł Connorowi wyjść z łódki. - Nie guzdraj się! Mamy tylko czterdzieści osiem godzin! Pociągnęli go po kei, która wkrótce połączyła się z innymi kejami. Był to istny labirynt pomostów.

Jez i Bart szli przed siebie szybkim krokiem, ale on sam zwalniał, rozglądając się z zaciekawieniem, próbując niczego nie przeoczyć. Krzyczały do niego szyldy pływających tawern: Zuchwały Żeglarz, U Posejdona, Armata i Kordelas...

Na małej barce ktoś urządził nawet pływający salon tatuażu. Connor przystanął na chwilę, by popatrzeć. Zawsze chciał mieć tatuaż... Przy wejściu na łódź wisiały chorągiewki ze wzorami dostępnych grafik. Czy nie byłoby zabawnie, gdyby Trzech Bukanierów wybrało sobie taki sam obrazek? Nagle zobaczył rysunek trzech kordów... nadawał się idealnie.

- Hej! - krzyknął za Bartem i Jezem, ale już znikali w tłumie.

- Hej! - odpowiedziała młoda dziewczyna, idąca tuż przed nim. Jej rubinowe loki zafalowały na wietrze.

Gdy się odwróciła, Connor zauważył, że w rzeczywistości jest starą dziewczyną... bardzo starą. Loki były fragmentem źle dopasowanej peruki, twarz miała pokrytą pudrem, a sztuczne rzęsy, długie i grube, przypominały odnóża tarantuli.

- Jestem Róża - powiedziała, a jej uśmiech ujawnił braki w uzębieniu. - Dzika Róża... Tak mnie nazywają. Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Nie mamy czasu! - Jez wyrósł jak spod ziemi, przychodząc Connorowi z pomocą. - Bardzo nam się spieszy. Chodźmy, panie Tempest. Musimy trzymać się razem!

Connor z wdzięczności nie protestował, gdy przyjaciel pociągnął go wzdłuż pomostu. - Niewiele brakowało. - Jez się roześmiał. - Lepiej na siebie uważaj. Na Calle del Marinero mogą na nas czyhać najrozmaitsze niebezpieczeństwa.

- Hej, chłopcy, a co o tym myślicie? - Bart stał przy trapie wiodącym na piękną starą dżonkę.

Connor odczytał jej nazwę, wypisaną srebrzystymi literami na burcie: Świński Morświn.

Ale Bart wskazywał szyld...

Konkurs siłowania się na rękę!

Początek punktualnie o siódmej wieczorem!

Zwycięzca dostaje darmowe piwo i talerz raków!

- Raki! - stwierdził Connor. - Mniam! Możecie na mnie liczyć!

- Przypomnijcie mi - wtrącił Jez - czy raki są jadalne?
- Wchodźcie, wychodźcie czy blokujecie drzwi, chłopaki? - krzyknął do nich bramkarz.
- Wchodzimy! - zawołał Bart i ruszył po trapie.
- Wchodzimy! - powtórzyli jak echo Connor i Jez, podążając za nim.

Serce Connora biło jak szalone. Jedno było pewne -Trzech Bukanierów zaliczy kilka przygód, zanim skończy się ich przepustka!

Rozdział 2

Konkurs

Pokład Świńskiego Morświna był słabo oświetlony. Connor potrzebował czasu, by jego oczy przyzwyczyły się do mroku.

- Gdzie są prowadzone zapisy do konkursu? - usłyszał pytanie Barta. Obaj starsi piraci rozmawiali z barmanem, tęgim mężczyzną w podkoszulku. Po ramionach spływała mu cała ławica niebieskich delfinów. Nawet palce miał wytatuowane - tuż pod kostkami Connor zauważył litery D-E-L-F. Uznał, że to imię.

- Spóźniliście się trochę - powiedział Delf. - Zawody trwają już od godziny.

- Ale my dopiero przyплыliśmy! - tłumaczył Bart.

Barman rzucił mu kpiący uśmiešek. - No cóż, gdybyśmy wiedzieli, że przyплыiesz, chłopie, to z pewnością byśmy na ciebie zaczekali - rzucił drwiąco. - Ale nic straconego. Możesz jeszcze dołączyć. Nie trzeba się zapisywać. Wrzuć tylko dolara do miski i ustaw się w kolejce. Myślę, że Kał się ucieszy z nowych przeciwników. Dziś wieczorem chyba już wszyscy próbowali szczęścia.

- Kai? - zdziwił się Bart. - A co to za jeden?

- Nie zadajemy zbyt wielu pytań - odparł barman.

- Taki mamy tu zwyczaj. Niewielu jest stałych bywalców, większość wpada i zaraz wypada, gdy przychodzi odpływ.

Bart wrzucił do miski trzy dolary, po czym obejrzał się na Delfa. - Wygląda na to, że od Kała odwróci się dzisiaj szczęście. Nasza piracka trójka nie wyjdzie stąd z pustymi brzuchami.

- Taaa, jasne - zgodził się Delf. - Konkurs jest w sali na tyłach. Za tamtymi drzwiami.

- Dzięki! - rzucił Bart. - Może od razu wrzuć do pieca trochę raków.

Barman uśmiechnął się tylko pod nosem. - Spokojna głowa, one szybko się pieką - zapewnił. Bart jako pierwszy przeszedł przez drzwi wahadłowe. Za nimi było mniejsze pomieszczenie, ciemniejsze, ale w mroku dało się dostrzec twarze innych klientów, którzy

zmierzili wzrokiem nowo przybyłych. Connor potrafił odczytać ich spojrzenia. Mówiły wyraźnie: „Sądzicie, chłopcy, że macie jakieś szanse? Przemyslcie to jeszcze!”.

Na środku stał niewielki drewniany stół, a przed nim puste krzesło. Po drugiej stronie siedział Kai. Pochylał głowę tak, że było widać tylko włosy – krótko ścięte i jaskrawoniebieskie. Nagle uniósł głowę i spojrzał na przybyszów, a oni stanęli jak wryci.

- Jesteś dziewczyną! - wykrzyknął ze zdumieniem Bart.

- Bystrzak z ciebie, koleś - odparła Kai.

Zebrani zaryczeli ze śmiechu i zatupali z aprobatą. - Przyjaciele nazywają mnie Kally - powiedziała młoda kobieta, a jej oczy zabłysły błękitem, podobnie jak włosy.

„O co tu chodzi?” - zastanawiał się Connor. Kally miała na sobie koszulkę na ramiączkach, odsłaniającą mocne ramiona i muskularne ręce. Ale przecież w żaden sposób nie mogła równać się z nimi siłą... A może? Czy to prawda, że pokonała już wszystkich innych konkurentów ze Świńskiego Morświna? Był tylko jeden sposób, aby się przekonać.

- No więc, chłopcy - rzekła nagle rzeczowo ich przeciwniczka - który pierwszy?

- Może ja - odparł Jez i wystąpił naprzód.

Connor ścisnął go za ramię. - Powodzenia - powiedział. Jez mrugnął tylko i usiadł. Kally oparła łokieć na stole i wyciągnęła rękę. Ścisnęli sobie dłonie.

- Gotów? Connor zauważył, że nie mówi jak dziewczyna. Zaczynała mu się podobać. Zauważył, że Bart także ją obserwuje.

- Jasne - potwierdził Jez. Walka jednak dobiegła końca, zanim na dobre się zaczęła. Kally pchnęła rękę Jeza w dół - aż do blatu. Nawet się przy tym nie skrzywiła.

Pijący przy barze parsknęli pogardliwie.

- Myślałem, że chociaż raz zobaczymy prawdziwy pojedynek! - jęknął jakiś stary pijaczyna, a potem czknął głośno i zwałił się na podłogę.

- Niezła próba, koleś - podsumowała Kally, uśmiechając się słodko, podczas gdy oszołomiony Jez wstawał od stołu. - Kto następny?

- Ja - oznajmił Bart, siadając naprzeciwko dziewczyny.

- Przeszliśmy do cięższego kalibru, co?

Chłopak nie odpowiedział. Oparł tylko łokieć na stole i napiął bicepsy.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. W jednej chwili ręka Kally zawisała niemal poziomo nad stołem. Connor nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jego przyjaciel musiał teraz tylko docisnąć, by grzbiet dłoni przeciwniczki dotknął blatu.

Okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Choć tylko milimetry dzieliły dziewczynę od porażki, dłoń Kally nawet nie drgnęła. Jej twarz także nie wyrażała niczego. Nie było na niej nawet śladu zmęczenia.

I nagle ramię Barta zaczęło się przesuwac - Kally je odpychała!

Ja chyba śnię - pomyślał Connor. - Ona kontratakuje!”.

Bart trzymał się mocno, ale na jego twarzy widać było wysiłek. Po kilku sekundach Kally przycisnęła jego dłoń do stołu.

Oszołomiony odsunął krzesło.

- Masz krzepę, chłopie! - przyznał.

- Dzięki, chłopie! - odparła Kally i puściła do niego oko.

Kiedy wstawał z krzesła, by dołączyć do kolegów, pojawił się Delf z tacą pełną drinków.

- Widzę, że szybko się rozprawiasz z tymi piratami - rzekł wesoło do Kai.

- Ach, więc to piraci? - rzuciła zaintrygowana. Zwróciła się w stronę Connora, który już zajmował miejsce naprzeciwko. - Nie jesteś przypadkiem trochę za młody na pirata?

- Mam czternaście lat - odparł Connor. - Czyli tyle, ile trzeba.

- Jest jednym z najlepszych szermierzy na statku uzupełnił z dumą Bart.

- W takim razie powinien mieć mocny chwyt. Oczy Kally błysnęły.

Connor usiadł, zarumieniony. Czy ona kpiła sobie z niego? Jej oczy były naprawdę niewiarygodnie niebieskie. Patrzył jak zahipnotyzowany - jakby wciągały go w niepojęte głębie.

- Gotów? - spytała Kally. Connor mocno ścisnął jej dłoń. - Zaczynamy - odparł. Natychmiast poczuł napór mięśni dziewczyny. Była silna. Bardzo silna. Ale on też. Nie tak silny jak Bart, oczywiście, ale dzielnie dotrzymywał jej pola, przynajmniej na razie.

Walka trwała. Klienci przy barze ucichli, pojmując, że być może w końcu zobaczą prawdziwe starcie.

Jednak Connor nie patrzył na nich. Wpatrywał się w błękitne tęczęwki Kally. Nie spuszczał wzroku, nawet po to, żeby spojrzeć na ich splecione dłonie. Miał przewagę. Wyczuwał to. Może Kally wreszcie się zmęczyła po pokonaniu tylu marynarzy? Czuł euforię. Byłoby

świetnie, gdyby to właśnie on wygrał i postawił kolegom piwo i raki, aby uczcić pierwszą wspólną przepustkę.

Nagle poczuł, że dłoń Kally wypełnia nowa energia. Przystąpiła do ofensywy. Czyżby nagle stracił koncentrację? A może dotąd tylko się z nim bawiła? Natarł z nową zaciekłością. Przez chwilę powstrzymywali się wzajemnie, z siłami wyrównanymi jak dwa przeciwne prądy. A potem Kally pchnęła mocno. Connor robił, co mógł, ale nie potrafił jej przeszkodzić. Tuż pod grzbietem dłoni wyczuwał blat. Walka skończy się w ciągu pięciu sekund, czterech, trzech, dwóch...

Lecz i on miał ukryte rezerwy energii. Uprawiał wiele sportów i nauczył się sięgać w głąb siebie, właśnie wtedy, kiedy wyglądało na to, że walka jest skończona. I nagle zdał sobie sprawę, że Kally słabnie, ustępuje. Nie był pewien, skąd się wzięła jego siła, ale czuł, że narasta. Wygrywał, a ona nic nie mogła na to poradzić. Tym razem był pewien, że nie ma w tym żadnego podstępu. Kally wreszcie się zmęczyła. Raz jeszcze pchnął jej dłoń, która uderzyła o drewno. Był tak zaskoczony, że zapomniał ją puścić.

- Gratuluję - powiedziała. - Wygląda na to, że jednak będę musiała zapłacić za swoją kolację.

Connor był zdezorientowany. Patrzył na jej dłoń, jakby nie mógł uwierzyć, że pokonał dziewczynę. Położyła na łopatki wszystkich zawodników zgromadzonych w tej zatęchłej komórce... oprócz jednego.

- Brawo, chłopie! - Bart poklepał go po plecach.

- Tak jest! - dołączył się Jez. - Dobrze to rozegrałeś. Najwyraźniej dzień należy do ciebie. A raczej noc!

Kally mrugnęła do nich z drugiego końca stołu. - No cóż, zabawnie było, chłopcy. Ale teraz dama musi was pożegnać. - Zaczekaj! - zawołał Bart. - Zostań i napij się z nami. Kally posłała mu uśmiech, jednak pokręciła głową. - Lorelei na mnie czeka - oświadczyła. - Już i tak jestem bardzo spóźniona. - Lorelei? Kto to taki? - spytał Bart. - Twoja siostra? - Nie kto - wyjaśniła - tylko co. Lorelei to mój statek. Muszę wracać na pokład. Bart nie chciał jej puścić, póki nie dowie się czegoś więcej. - A co to za statek? - nie ustępował. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. - Można chyba go uznać za... łódź nurkową. - Nurkowanie... - Bart pokiwał głową. - Uwielbiam nurkować. - Wszyscy lubią. - Błękitne oczy Kally zalśniły. - Zostań chociaż na jednego drinka - poprosił pirat. - Przykro mi, chłopie. Nie zrobię tego nawet dla

ciebie. Czekają na mnie. Bart wydawał się zawiedziony, a tymczasem Kally zawołała w tłum: - Czy jest tam gdzieś mój wózek?! Z ciemności nagle wyłonił się zarys wózka inwalidzkiego pchniętego przez kogoś w stronę Kally. Dziewczyna zatrzymała dłonią jedno z kół, a potem szybko się przesiadła. Teraz dopiero Connor spostrzegł, że Kally nie ma nóg, a przynajmniej - że ich nie widać. Były ukryte w ceratowym worku związanym sznurem w pasie dziewczyny.

„To by wyjaśniało niezwykłą siłę jej rąk” - pomyślał.

Kally odjechała od stołu, a potem przez ramię rzuciła spojrzenie zdumionym piratom.

- Panowie, poznanie was było prawdziwą przyjemnością - zapewniła chłopców. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Po czym znów puściła oko, zakręciła kołami i zniknęła wśród kolorowych świateł Calle del Marinero.

Rozdział 3

Bijatyka

- Miała niesamowicie niebieskie oczy - powiedział Bart i po raz kolejny westchnął. - Jak się nazywa taki odcień? Lazurowy?

Jez zazgrzytał zębami. - Chłopie, widziałeś ją przez parę minut, a od godziny nie możesz przestać o niej gadać. Bart nie zwracał na niego uwagi.

- A może akwamaryna?

Jez przewrócił oczami i spojrzał na Connora. - Na całym świecie nie ma tylu darmowych raków, żeby mi wynagrodzić słuchanie podobnych głupot. - Sięgnął ponad barem i chwycił Barta za ramię.

- Chłopie, nastaw inną płytę. Litości!

- Niegłupi pomysł, swoją drogą - oświadczył Connor.

Zerknął na szafę grającą w kącie. Był to stary wurlitzer, który od ich przybycia bez przerwy wyrzucał z siebie trashowe szanty. Teraz jazgotliwa muzyka kojarzyła się już raczej ze zgiełkiem bitewnym.

Connor zsunął się ze stołka barowego i podszedł do szafy. Wyjął z kieszeni monetę i sprawdził listę piosenek. Przecież musi być coś lepszego niż ten łomot! Ale kiedy przerzucał kolejne strony spisu, doszedł do wniosku, że Świński Morświn ma chyba wszystkie trashowe szanty, jakie kiedykolwiek powstały - i niewiele poza tym.

Wreszcie jednak natrafił na piosenkę, którą lubił, podobnie jak jego siostra Grace - Dziewczyny z Cape Cod. Numer B 17... Wrzucił monetę, wcisnął B, potem 1... Ale zanim zdążył dotknąć siódemki, czyjś długi, blady palec zakończony brudnym, połamanym paznokciem stuknął w dziewiątkę.

- Zaraz! - zawołał Connor, ale jego słowa zagłuszyła następna trashowa szanta. Znowu! Odwrócił się z twarzą niczym burza gradowa.

Stał przed wysokim, chudym chłopakiem, niewiele starszym od siebie, ubranym w czarną skórę. Jego przylizane włosy były równie ciemne, a grzywka zasłaniała prawie połowę twarzy. Miał bladą, jakby woskową cerę, a poza tym trądzik i niewielką fioletową bliznę. Nad niemal białymi wargami zagnieździła się paskudna opryszczka. Chłopak mógł przywodzić na myśl wampira, ale kiedy otworzył usta, Connora zaatakowały opary o zapachu czosnku.

- O co chodzi? - zapytał obcy. - Nie odpowiada ci mój gust muzyczny? Connor pokręcił głową. - Cuchnie - rzucił. - Podobnie jak ty. To były moje pieniądze. I mój wybór. Chłopak uśmiechnął się drwiąco. - W takim razie powinieneś być szybszy, no nie? Connor miał tego dosyć. Sięgnął po rapier wiszący u pasa. - Uważam, że jestem wystarczająco szybki, ale dziękuję za radę. Widok nagiego ostrza nie zaniepokoił nieznanego, który sięgnął do kieszeni spodni i wyjął scyzoryk. Otworzył go tak niedbale, jakby to była zapalniczka.

Connor zdumiony pokręcił głową.

- Chcesz ze mną walczyć tym czymś? Jedyne niezasłonięte włosami oko chłopaka spoglądało na Connora z pogardą. - Ależ ja wcale nie mam zamiaru z tobą walczyć. Strzelił palcami i nagle stanęli przy nim dwaj ludzie. Nazwanie ich potężnymi byłoby niesprawiedliwe - zasługiwali na miano olbrzymów. Obaj ubrani w skórę, trzymali w rękach ostre jak brzytwa rapiery.

- Tak, panie Promyku? - odezwał się jeden.

- Wołał nas pan, panie Promyku? - dodał drugi.

Chłopak zmarszczył czoło. - Kazałem wam mówić do mnie po imieniu, pamiętacie? - Zwrócił się do Connora: - Ci dwaj będą z tobą walczyć. - Podniósł scyzoryk i wskazał ostrzem szyję chłopca. - Ja włączę się później, żeby z tobą skończyć.

Connor się skrzywił. Promyk zrobił krok do tyłu, przepuszczając swoich opryszków. - Postarajcie się załatwić to szybko, ale boleśnie - polecił. Connor myślał gorączkowo. Jak to możliwe, że ci dwaj wielcy faceci słuchają rozkazów takiego dupka?

Miał jednak poważniejszy problem: jak opuścić tawernę w jednym kawałku?

Nie musiał się martwić zbyt długo.

- Odejdźcie od tej szafy! - zahuczał jakiś głos. Tak, Tweedledum i Tweedledee, do was mówię!

Connor uśmiechnął się z ulgą. Bart przybywał z odsieczą! Stał za dwoma zbirami, unosząc pałasz. Ale ci dwaj nawet nie drgnęli.

- Zostawcie go! - wychrypiał inny głos. Connor zobaczył, że Jez chwycił Promyka w pónelsonie. Ten, w żelaznym uścisku, ledwo mógł cokolwiek z siebie wykrztusić.

Na rozkaz bandyci odsunęli się od Connora.

- No właśnie - powiedział Bart. - Ładnie i miło, a mój kolega nie uszkodzi tej ślicznej promiennej buźki. Chociaż naprawdę przydałoby się trochę nad nią popracować...

Connor odetchnął i mocniej chwycił broń, przygotowując się do ataku. - No dobra - powiedział Bart. - A teraz wykonamy złożony manewr, który opiszę dwoma słowami... W nogi!

Przeskoczył bar, a Connor i Jez podążyli za nim. Ochroniarze Promyka byli zbyt zaskoczeni, by natychmiast ruszyć w pogoń. Zamiast tego spojrzeli tępo na swojego szefa. Promyk stał zgięty, opierając dłonie na kolanach. Mimo to zdołał wykrzyknąć:

- Na co czekacie? Za nimi! Załatwcie ich! Ale tymczasem Jez i Connor biegli już po pokładzie Świńskiego Morświna, a Bart dotarł nawet do połowy trapu.

- Uff! - odetchnął Connor, gdy wraz z Jezem dogonił kolegę. - Niewiele brakowało. Jeden za wszystkich...

Przerwał mu wściekły ryk z pokładu. Dwóch osiłków nadciągało. - Szybko, chłopaki! - rzucił Bart. - Wynosimy się! Trójka piratów zeskoczyła na pomost. Wtedy coś świsnęło obok ucha Connora. Zaskoczony uniósł głowę i zobaczył, że jakiś metalowy przedmiot wbił się w drewniane deski zaledwie o krok od niego. Był to groźnie wyglądający pocisk w kształcie gwiazdy z wieloma ostrzami.

- Shuriken - stwierdził Jez, chwytając Connora za rękę.

- Skąd się tu wziął?

- Z góry, na oko sądząc! - rzucił Bart, wskazując pokład Świńskiego Morświna. W mroku ukazała im się biała twarz Promyka. Gdy chłopak uniósł dłoń, kolejny shuriken świsnął w powietrzu, o włos mijając ich głowy.

- Co teraz? - spytał Connor.

- A jak myślisz? - odparł Bart. - Wiejemy!

Connor nie kazał się prosić, tym bardziej że chwilę później przeleciał nad nimi kolejny pocisk.

- Chyba nas dogania! - wydyszał w biegu Jez. - Co to za gość?

- Kłopotliwy - rzekł Bart. - Po prostu.

- A o kłopotach mówiąc... - zaczął Connor - ...co robimy teraz? - Wskazał zimną, ciemną wodę dwa metry przed sobą. Tutaj pomost się kończył.

- Tędy! - krzyknął Bart, skręcił w prawo i wbiegł po trapie do jakiejś tawerny. Jez i Connor poszli w jego ślady. Znaleźli się na pokładzie Krwawej Papugi.

Goście odwrócili głowy w ich kierunku. I nagle z tłumu wynurzyły się dwie znajome postacie w czarnych skórach - ludzie Promyka.

- Na wszystkie pijalnie dżinu na Calle del Marinero.J - zawołał Bart.

- Jakież nowe pomysły?! - krzyknął do przyjaciół Connor, gdy para osiłków ruszyła w ich stronę.

- Za mną! - wrzasnął Jez i przeskoczył przez burtę na sąsiedni statek.

Connor nie zwlekał. Za sobą słyszał kroki Barta. Nie mieli czasu do stracenia. Ludzie Promyka deptali im po piętach.

- Biegiem! - Bart, pędząc, rozcinał żagle pałaszem, aby utorować sobie drogę. Zaskoczeni ludzie skupili się na krańcu pokładu.

Nagle nad głowami usłyszeli znajomy już świst. Kolejny shuriken! - Pochylcie się! - zawołał Bart, gdy wirujące ostrze przemknęło obok nich. Widząc przycumowaną nieopodal następną pływającą tawernę, Trzech Bukanierów znów przeskoczyło przez burtę. Connor nie mógł powstrzymać uśmiechu. Mimo niebezpieczeństwa był dziwnie rozbawiony. W dodatku miał przy sobie swoich najlepszych kumpli. Ale kiedy wylądował na deskach, nie było już czasu na podobne myśli. Ochroniarze Promyka znów skrócili dystans.

Gdy Bart powtórzył manewr z rozcinaniem żagli, bywalcy lokalu zamiast uciekać, wyciągnęli broń, wściekli, że ktoś przerywa im zabawę. Patrzyli wrogo na chłopców. Connor miał na wprost siebie drugą burtę statku, ale za nią był już tylko ocean. Czyżby naprawdę przyparto ich do muru?

Rzucił rozpaczliwe spojrzenie Bartowi i Jezowi, podobnie jak on zagubionym. A potem wydarzyły się dwie rzeczy równocześnie. Na pokład wtargnęli goryle Promyka i kolejny shuriken przeciął powietrze, by chwilę później wbić się w maszt.

- Skaczemy! - wydał rozkaz Bart. Connor był przygotowany na lądowanie w lodowatej wodzie, ale ku swojemu zdziwieniu zeskoczył na pokład jakiejś łodzi - o wiele mniejszej i niższej niż statki, które zostawili za sobą. A w dodatku ta łódź płynęła...

Zadarł głowę. Ludzie Promyka wpatrywali się w uciekinierów z rozczarowaniem. Już teraz dzieliła ich odległość zbyt duża, aby zdołali ją pokonać. Ostatni shuriken świsnął w powietrzu, minął cel i wpadł do wody, choć w locie zdążył jeszcze trafić pechową mewę.

Connor odetchnął głęboko. Mógł go spotkać podobny los. - Niewiele brakowało! - stwierdził Jez, gdy wstali i otrzepali ubrania. Nagle usłyszeli czyjś głos. - Trzeba przyznać, chłopcy, że macie efektowne wejścia. Głos był znajomy, tak samo jak dziewczyna, która nadjeżdżała na wózku inwalidzkim. - Witajcie na pokładzie Lorelei - powiedziała. Miałam przeczucie, że się jeszcze spotkamy.

Bart popatrzył na Kally. Rozpromienił się. - Akwamaryna - stwierdził po chwili. - Zdecydowanie akwamaryna!

Rozdział 4

Lorelei

- Ciągłe szukacie kłopotów, co? - rzuciła Kally z uśmiechem. - No cóż, wygląda na to, że dziś w nocy wybierzecie się z nami na rafę.

Connor się rozejrzał. Kadłub niewielkiego jachtu ledwie wystawał nad wodę, kołysząc się lekko na falach. Księżyc rzucał na łańciskie żagle srebrzystoniebieski blask. Wzdłuż pokładu wisiały lampy; rozlegały się muzyka i cichy śpiew. Jednak było tu o wiele spokojniej i nie tak tłoczno jak na Diabłu czy Świńskim Morświnie.

- Chodźcie, poznacie resztę załogi! - Kally wyjechała na środek pokładu i zahamowała przy czwórce swoich kolegów.

Podobnie jak ona, wszyscy marynarze siedzieli na wózkach naokoło odwróconej skrzyni zasypanej kartami do gry.

- Uwaga wszyscy! - zawołała Kally. - Poznajcie moich nowych przyjaciół. To trójka najznakomitszych piratów, jacy kiedykolwiek pływali po oceanie... jeśli wierzyć ich własnym słowom. - Mrugnęła wesoło. - Chłopcy, to są Diani, Teahan, Lika i Joao.

Przedstawiając się, serdecznie ściskali sobie dłonie. Gospodarze natychmiast zaproponowali drinki i zaprosili piratów do gry. Koledzy Kally najwyraźniej byli tak samo pełni energii jak ona. A także młodzi i wysportowani. Nogi mieli ukryte w ceratowych workach, toteż widać było ich jedynie do połowy. Na ogół nosili koszulki bez rękawów, toteż łatwo dało się zauważyć - podobnie jak u Kally - doskonale rozwinięte mięśnie. Connor wolałby nie siłować się z nimi na rękę.

- Witajcie, przyjaciele, na Lorelei - rzekł Joao, kiedy mieli już pełne szklanki.

- No dobra, poznaliście już wszystkich nicponiów - uznała Kally, gdy wysączyli do dna swoje napoje.

- Pora przedstawić was Flynnowi.

- A kto to taki? - zapytał Connor.

- Flynn - odparł z uśmiechem Joao - to nasz czcigodny kapitan.

Connor rozumiał już, że znalazł się na niezwykłym statku. Żaden z członków jego załogi nie ośmieliłby się powiedzieć przybyszowi: „Chodź, poznasz Molucca”. Zawsze mówili o nim: „kapitan Wrath”. Ale z drugiej strony to nie byli piraci. No i Lorelei była o wiele mniejsza niż Diabło.

- Ilu ludzi macie? - zapytał, kiedy szli za Kally na rufę. - Licząc Flynna, jest nas trzynaścioro - oznajmiła. - Dla niektórych to pechowa liczba, prawda? Zauważyliście też pewnie, chłopcy, że Lorelei ma skromne rozmiary. Ale dla nas jest w sam raz.

Znienacka Connor usłyszał zgrzyt i pisk kół - to jeden z kolegów Kally mknął po pokładzie prosto na nią. Chłopak skrzywił się, oczekując katastrofalnej w skutkach kolizji czołowej, ale dziewczyna w ostatniej chwili skręciła i uniknęła zderzenia.

- Takie rzeczy ciągle się tutaj zdarzają - stwierdziła z uśmiechem. - Jeszcze kilka par kół na pokładzie, a całkiem byśmy się zakorkowali.

- A jak sobie radzicie z żaglami, takielunkiem i całą resztą? - wypytywał ją Connor, kiedy mijali grotmaszt. - To znaczy...

Nie przychodziło mu do głowy, jak dyplomatycznie zadać nurtujące go pytanie. - Chcesz powiedzieć: jak sobie radzimy na wózkach? - rzuciła swobodnie Kally. - Wiesz, sporo pracy można wykonać z pokładu.

Przystanęła, by mogli zobaczyć jeszcze jednego członka załogi, który ustawiał nachylenie żagla. Operował takielunkiem z dołu, za pomocą lin, jakby to były sznurki latawca.

- Sprytne - przyznał Jez. Dotarli już niemal na rufę. Przed nimi wyrosła budka sternika, przerobiona tak, że zamiast schodków na platformę prowadziła rampa.

- Muszę się trochę rozpędzić - uprzedziła Kally. Zakręciła kołami i błyskawicznie wjechała na samą górę. - Co wy na to? - Bart zwrócił się do kolegów. - Niezła łajba - przyznał Connor. - Nie mówię o łodzi, idioto, tylko o Kally. Niesamowita jest, no nie? - Cudowna - zgodził się bez wahania Connor. Zauważył ostrzegawcze spojrzenie Jeza. Bart też je dostrzegł. - Nie martwcie się, chłopaki - rzucił. - Przecież nie zrobię niczego głupiego. Chcę tylko powiedzieć, że to naprawdę niezła dziewczyna, nic więcej.

- Jasna sprawa - zgodził się Jez. - W takim razie chodźmy do tego kapitana, co?

Przepuścił Barta przodem, a potem złapał Connora za ramię i przyciągnął do siebie. - Dobra rada - szepnął. - Kiedy Bartholomew Pearce mówi, że nie zrobi niczego głupiego, należy się spodziewać czegoś dokładnie odwrotnego.

Connor nie odpowiedział. Co właściwie mógł zrobić Bart? Przecież tylko zwiedzali Lorelei, pili z nowymi znajomymi...

- No chodźcie, guzdrały! - zawołała Kally z platformy. - A może zorganizować wam jakieś kółka, żebyście mogli mnie dogonić?

Connor z Jezem wdrapali się na górę. Stanęli obok Barta, a Kally podjechała do rufy. - Flynn, przyprowadziłam parę osób, które chcą cię poznać. - Osób? Jakie to osoby? Pierwszym, co zobaczyli, było rzeźbione oparcie jego wózka w kształcie znikającego w falach rybiego ogona.

Kapitan spojrzał na nich. Był starszy niż członkowie jego załogi, a twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami i ogorzałą.

- Connor, Bart, Jez - rzekła Kally. - Z prawdziwą przyjemnością przedstawiam was Flynnowi, znanemu również jako kapitan Lorelei. - Spuściła głowę i uśmiechnęła się, nim dodała jeszcze: - A także jako mój tato.

Connor zauważył, że Bart pręży mięśnie, ściskając dłoń kapitana. Kiedy sam podał mu rękę, spojrzał mężczyźnie w twarz i odkrył podobieństwo do Kally. On również miał niebieskie oczy, ale w jaśniejszym, bardziej mlecznym odcieniu. W świetle księżyca także jego włosy wydawały się srebrzystoniebieskie, ale kiedy chłopak przyjrzał się dokładniej, stwierdził, że w rzeczywistości są siwe. A potem dostrzegł coś, co wcześniej nie zwróciło jego uwagi: Flynn siedział na krześle na kółkach, jednak nie był to wózek inwalidzki, a dolnej części ciała kapitana nie ukrywał ceratowy worek. Mężczyzna nosił spodnie z szorstkiego lnu, a bosa stopy wspierały się o deski pokładu.

- On nie jest inwalidą! - wykrzyknął Connor. Pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni. - Aj... Nie chciałem tego powiedzieć... - zapewnił speszony Connor. Bart przyglądał mu się ponuro.

- Naprawdę przepraszam - z zażenowaniem zwrócił się do Kally. - Naprawdę...

Pokręciła głową. - Nie przejmuj się, Connor. W naszym towarzystwie nietrudno o ryzykowny temat. Rzeczywiście, Flynn nie jest inwalidą. - Sir... - Bart próbował pospiesznie zmienić temat. - Kally mówiła, że Lorelei to łódź nurkowa. - Słucham? - spytał z roztargnieniem Flynn, najwyraźniej myśląc o czymś innym. - Nurkowanie, tato - podpowiedziała Kally. - Ach,

nurkowanie... - Kapitan znowu się zamyślił. - Tak, tak. Dzieciaki uwielbiają nurkować. Connor uśmiechnął się pod nosem, słysząc określenie „dzieciaki” w odniesieniu do członków załogi. Najwyraźniej Flynn nie tylko Kally traktował po ojcowsku.

- Ale jak to się wszystko zaczęło? Czemu zajął się pan nurkowaniem?

- Pochodzę z rodziny o długich żeglarskich tradycjach - odparł Flynn. - Mój ojciec był kapitanem, a przed nim jego ojciec. I zawsze nurkowaliśmy. Od Cozumel po Wyspę Bożego Narodzenia nie ma takiego nurkowego miejsca, którego bym nie znał jak własnych stóp. Ale kiedy urodziła się moja Kalipso, sytuacja uległa zmianie. Ona okazała się inna. Wyjątkowa.

Flynn wyciągnął rękę i pogłodził córkę po policzku, a ona musnęła ustami jego dłoń. - Inni by ją ochraniali, trzymali bezpiecznie na brzegu... Ale to tak, jakby aniołowi przyciąć skrzydła. Moja Kalipso... potrzebuje kół, by poruszać się na lądzie, ale w wodzie potrafi latać.

Connor nie był pewien, co kapitan ma na myśli. Tymczasem Flynn mówił dalej. - Jesteśmy ludźmi, którzy wolą pilnować swoich spraw. Ale mimo to wiadomości się rozeszły. Trafili do nas inni... pojawiły się inne wyjątkowe dzieciaki, takie jak Kalipso. Przyjąłem je na pokład Lorelei. Nietrudno było zaadaptować dla nich łódź. Sami wykonują dziewięćdziesiąt procent pracy, a ja włączam się tylko wtedy, kiedy jestem potrzebny. To znaczy, prawdę mówiąc, coraz rzadziej i rzadziej.

- To nieprawda, tato - wtrąciła Kally. - Flynn uważa, że jest już za stary na kapitana - wyjaśniła.

- Że wkrótce powinien ustąpić.

Posmutniała, a jej wzrok na chwilę zatrzymał się na twarzy Barta. Jednak zaraz uśmiechnęła się znowu i zmieniła temat.

- No więc wiecie już, skąd się tutaj wzięliśmy - powiedziała. - Ale wytłumaczcie, jak wy trafiliście na Lorelei.

Bart zrobił zakłopotaną minę. - Mieliśmy drobne kłopoty, kiedy zesłaś ze Świńskiego Morświna. - Doprawdy? - Kally wyraźnie była rozbawiona. - No cóż, płyniemy teraz za rafę. Jeśli chcecie, zrobimy zwrot i wysadzimy was w porcie. Albo możecie spędzić trochę czasu z nami. Płyniemy w jedno z lepszych miejsc do nurkowania.

- Tak? A gdzie? - zainteresował się Connor.

- Do Piekielnej Zatoki - odparła Kally. - Ale przypomina ona raczej niebo niż piekło. Znajduje się niedaleko stąd i jest niewiarygodnie piękna. Można tam znaleźć ogniste muszle, miniaturowe koniki morskie i bardzo rzadkie błękitne ośmiornice...

- Brzmi świetnie - stwierdził entuzjastycznie Bart. - To kuszące zaproszenie, Kally - przyznał Jez. -Ale musimy się trzymać w pobliżu Calle del Marinero. Diabło przyplynie po nas w niedzielę o zachodzie słońca.

- Jez, to przecież za dwa dni! - odparła Kally. - Do tego czasu wrócimy, żaden problem.

- No to doskonale! - ucieszył się Bart.

Connor musiał się z nim zgodzić. Stanowczo wolał spędzić wolny czas, nurkując i odpoczywając z załogą Lorelei, niż tkwić w którejś z pływających tawern na Calle del Marinero. A już na pewno mu nie zależało na ponownym spotkaniu z entuzjastą trashowych szant ciskającym shurikenami. Oraz z jego dwoma osiłkami.

- No dalej, Jez - zachęcił kolegę Bart. - Gdzie twoje zamiłowanie do przygód? Jez pokręcił głową, ale wreszcie się rozpogodził. - No dobra. Wchodzę w to. - Słuszny wybór! - pochwaliła go Kally. Flynn znów zajął się kołem sterowym i pokierował Lorelei w stronę wyjścia z portu. Wybrzeże pozostało daleko za nimi.

„Jest coś niezwykłego w chwili, w której statek opuszcza port” - pomyślał Connor. Nie chodziło mu o to, że człowiek porzuca ląd dla oceanu. Raczej o to, że odcina się od wszystkich stałych punktów i kieruje do świata, gdzie wszystko jest płynne. To nadzwyczajne, oszałamiające uczucie - a czternastoletni Connor Tempest zdążył się już od niego uzależnić.

Rozdział 5

Nocne pływanie

- Wiecie, chyba zaczynam łapać! - oświadczył Connor, rzucając ostatnią kartę i pokazując puste dłonie.

Jez pokręcił niechętnie głową, a Lika z udawaną złością cisnęła swoje karty na skrzynię. - Początkujący zawsze mają szczęście. - Joao się zaśmiał i oczy błysnęły mu w świetle lampy.

Żeglowanie do rafy wyraźnie nie sprawiało załodze kłopotów. Ocean był spokojny, a gwiazdy dostatecznie jasne, by wskazywać drogę. Flynn wrócił do steru i pilnował kursu, a Diani i Teahan dostali zadanie obsługiwania łańciskich żagli - słuchali okrzyków kapitana i od czasu do czasu poprawiali tu czy tam jakąś linę. Reszta załogi mogła sobie pozwolić na wypoczynek. Wydawało się, że na pokładzie Lorelei normą jest bezczynne obserwowanie, jak obok przesuwa się świat. Nietrudno było poczuć się tutaj jak w domu. Connor zdążył się już zaprzyjaźnić z załog - zwłaszcza z Liką i Joao, gdyż z tą właśnie dwójką on i Jez toczyli coraz bardziej zacięte karciane batalie. Tymczasem Bart i Kally siedzieli na dziobie, pogrążeni w rozmowie. Connor widział ich sylwetki na tle żagli.

- Dobrana z nich para, co? Connor uniósł głowę i zobaczył, że Joao wskazuje gestem Barta i Kally. Przytaknął. - Nigdy nie widziałem jej równie szczęśliwej stwierdził Joao. - Może Bart będzie musiał zostać na Lorelei już na zawsze.

Parsknął śmiechem. - Może wszyscy zostaniemy - mruknął Jez. - Powiem ci, kolego, że jest tu o wiele spokojniej niż u nas.

- Naprawdę? Ale wy jesteście piratami! Szukacie przygody, emocji, niebezpieczeństw, prawda? Myślę, że życie na pokładzie Lorelei w końcu by was znudziło.

Jez oparł się wygodnie na krześle i przeciągnął jak kot. - Wiesz co, koleś? Myślę, że trochę nudy wcale by mi nie zaszkodziło. Zostałem piratem, kiedy jeszcze jeżowcom sięgałem do kolan, i naprawdę przyjemnie zrobić sobie czasem wolne.

- A co z tobą, Connor? - spytał Joao. - Też tak myślisz? - Connor jest na Diabłu od jakichś pięciu minut. Poza tym jego siostra przebywa na pokładzie. Nie mógłby jej porzucić. Prawda, kolego?

- Nie. - Connor stanowczo pokręcił głową.

- Są bliźniakami - wyjaśnił Jez.

- Naprawdę? - Lika spojrzała na Connora z wyraźnym zaciekawieniem. - Podobno bliźniaki łączy szczególna więź, mogą się porozumiewać bez słów i w ogóle... Czy to prawda? Connor wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy tak całkiem... Ale Grace i ja na pewno wyczuwamy swoje nastroje.

- Naprawdę? A czy potrafisz wyczuć, o czym teraz Grace myśli?

- Wątpię, czy mi się...

- Spróbuj - zaproponowała z uśmiechem Lika.

Chcąc zrobić jej przyjemność, Connor zamknął oczy. Wszyscy milczeli. Przywołał wizerunek Grace takiej, jaką widział ją ostatnio - gdy patrzyła, jak on schodzi do szalupy i odpływa. Skupił się na jej twarzy. Usta 'miała otwarte i coś mówiła... Nic nie słyszał. Musiał odkryć jakiś sposób, by znaleźć się bliżej.

Pomyślał o medalionie, który jej podarował. Wyobraził sobie, że go ma na szyi - w nadziei, że to wzmocni połączenie. I wreszcie się udało!

Nagle usłyszał słowa, które wymawiała.

„Niebezpieczeństwo. Pod wodą”.

Wstrząsnęła nim wyrazistość tej wizji. Czy to rzeczywistość, czy złudzenie? Nie otwierał oczu. Grace była coraz bliżej. Dostrzegał niepokój w jej oczach i jeszcze wyraźniej słyszał, jak mówi: „Niebezpieczeństwo. Pod wodą”.

Serce zabiło mu szybciej. Otworzył oczy i zobaczył, że pozostała trójka przygląda mu się z zaciekawieniem.

- Co wyczułeś? - spytała Lika.

- Przemówiła do mnie...

- Naprawdę? A co powiedziała?

Connor odetchnął głęboko. I kiedy znowu próbował się rozluźnić, podjął decyzję. - Powiedziała... - No gadaj! - ponaglił go Jez. - Nie każ nam czekać! - Powiedziała.....Nędznie

grają w karty, więc miej dla nich litość!”. Czuł na sobie wzrok Liki i Joao - przez chwilę milczeli, a potem oboje wybuchnęli śmiechem.

Czas mijał szybko od rozdania do rozdania. W końcu od rufy zabrzmiał głos Flynnna: - Jesteśmy na miejscu! Jesteśmy! - Jesteśmy na miejscu! - powtórzyła Kally i skierowała wózek na środek pokładu. Bart pobiegł za nią. W ciągu kilku chwil zgromadziła się cała załoga. Marynarze z Lorelei chyba czekali na coś.., albo na kogoś. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę rufy, kiedy Flynn zszedł z platformy i ruszył ku nim. Krok miał nierówny - szurnięcie po deskach jedną stopą, potem ciężkie tupnięcie drugą. Wymownie świadczyło to o wieku kapitana.

- Piękna noc na pływanie - oświadczył. - I cudowne miejsce, czyż nie? Załoga spoglądała na niego wyczekująco. Księżyc w pełni rzucał na twarze jasne światło. Connor przypatrywał się scenie zafascynowany.

- No, na co czekamy? - spytał Flynn. - Pora zbadać tę rafę! Kto dzisiaj będzie pierwszy? Rozejrzał się i jego wzrok spoczął na postaci Liki. Skinął głową i dziewczyna podjechała do samej burty.

Spędziła tam chwilę, obserwując ocean, a potem Flynn podszedł i położył jej dłoń na ramieniu. Zaczął nucić jakąś dziwną melodię. Wtedy Connor zobaczył, że cerata na nogach Liki zaczyna się poruszać - z początku niemal niezauważalnie, potem coraz szybciej. Zupełnie jakby Flynn przywracał jej władzę w nogach.

- Jesteś gotowa? - zapytał łagodnie kapitan. Lika przytaknęła. Opuściła dłonie do pasa i rozpięła worek. Materiał opadł na pokład, odsłaniając nie nogi, lecz wielki, lśniący rybi ogon, który uderzył o deski, jakby z radości, że nareszcie jest wolny.

Dla Connora widok ten był równie naturalny, co niewiarygodny. Całkiem jakby od samego początku wiedział, że Lorelei nie jest zwykłym jachtem. Teraz patrzył zdumiony, jak Flynn podnosi Likę, aby mogła skoczyć z burty do oceanu.

- Kto następny? Tym razem podjechał do niego Joao. Kapitan znowu zanucił dziwną melodię, ceratowy worek zaczął się poruszać. Po chwili Joao zerwał go z siebie i z pomocą Flynnna wybił się z burty, wzniosł w powietrze, a potem zniknął pod powierzchnią wody.

Kapitan po kolei oddawał swoich marynarzy oceanowi. W końcu na pokładzie zostało tylko dwanaście pustych wózków inwalidzkich oraz milczący Connor, Bart i Jez.

Flynn dał im znak ruchem dłoni.

- Chodźcie - powiedział. - Popatrzymy na nich z rufy. Ruszyli w milczeniu, kilka metrów za starym kapitanem człapiącym wolno do platformy z kołem sterowym.

Przez chwilę wody pozostawały ciemne i niezmacone. Potem jednak wynurzyli się Joao i Lika. Ich ogony, na pokładzie bezbarwne, teraz się jarzyły i rozświetlały ocean.

- Czyż nie są piękni? - spytał Flynn. Jego twarz również jaśniała tym tajemniczym blaskiem. - To... to syreny! - wykrztusił zdumiony Bart. Flynn z uśmiechem położył chudą dłoń na ramieniu chłopaka. - Joao chyba by się nie ucieszył, że został nazwany syreną - stwierdził i zachichotał. - Ja nazywam ich rybogonami. To moi rybogoni! Moi przepiękni rybogoni!

Wraz z Connorem obserwował w zachwycie, jak barwne światła przemykają tam i z powrotem pod taflą wody.

- Chodźmy do nich! - zaproponował Bart. W oczach błyszczał mu entuzjazm. Obejrzał się na Flynna. - Możemy, sir?

Flynn pokiwał głową.

Wszyscy trzej rozebrali się do bielizny i skoczyli z burty. Gdy Connor uderzył o wodę, wydała mu się ona czarna. Ale nagle rozjaśniła się jarzeniowymi refleksami - poniżej zobaczył Likę i Joao. Zauważył, że Bart płynie w stronę Kally. Flynn miał rację: w wodzie była jak anioł. Podobnie jak pozostali rybogoni. Pływali z taką gracją, że Connor nagle poczuł się niezdarny.

- Witaj w naszym świecie - powiedział Joao, zbliżając się do niego. Rafa za jego plecami lśniła koralowym różem. - Tak się cieszę, że do nas dołączyliście - dodała rozpromieniona Kally. Connor spojrział zaskoczony na kolegów. A zatem rybogoni potrafią mówić pod wodą... Postanowił sprawdzić, czy on także to umie. Otworzył usta... i zaskoczony napił się słonej wody.

Kally uśmiechnęła się do niego.

- To nasz świat - zaznaczyła. - My mamy swoje ograniczenia na lądzie, a wy pod wodą. Ale bądźcie naszymi gośćmi.

Zanurkowała głębiej, a łuski na jej ogonie wzniciły feerię świateł. Connor żałował, że nie ma tu Grace, by siostra także mogła to zobaczyć. Pamiętał wiadomość, jaką mu przesłała, i próbował nadać odpowiedź - by wiedziała, że się pomyliła, że nie dzieje się nic złego.

„Magia. Pod wodą”.

Kilka razy powtórzył w myślach te słowa, w nadziei, że do niej dotrą - że za jego pośrednictwem zdoła ujrzeć niezwykle widok. A potem, podążając za kolorowymi światełkami, ruszył na spotkanie przyjaciół - starych i nowych.

Rozdział 6

Rybogoni

Kiedy rybogoni zakończyli wreszcie kąpiel, Flynn rzucił im grubą linę. Piraci, którzy już wcześniej wrócili na pokład, by się wysuszyć, obserwowali, jak kapitan wciąga swoich marynarzy na górę. Gdy Bart zaproponował mu pomoc, potrząsnął tylko głową.

- Jeszcze daję sobie radę - oświadczył nieco ostrzejszym tonem. Każdego rybogona przenosił na wózek, a później umieszczał jego ogon w ceracie. Connor zauważył, że wlewa do worków słoną wodę.

- Ogony nie mogą wysychać - wyjaśnił kapitan. Przesunął dźwignie i opuścił oparcia, zmieniając wózki w łóżka. Potem przyniósł stos koców i delikatnie otulił swych podopiecznych. Jak zaczarowana, cała dwunastka zapadła w głęboki sen.

- Wstrząs podczas przejścia z podwodnego świata do naszego jest dla nich bardzo wyczerpujący. Teraz będą odpoczywać, a kiedy się obudzą, odzyskają równowagę. - Flynn rzucił piratom po kocu. - Weźcie je na dziób - poradził. - Tam możecie się przespać.

Po czym się odwrócił i odszedł w stronę swojego krzesła przy kole sterowym. * *

Connor spał mocno, a gdy rankiem się obudził, od razu chciał sprawdzić, czy nadal jest na Lorelei i czy wszystko nie było snem. Z satysfakcją stwierdził, że nie tylko znajduje się na pokładzie, ale również - że Jez już nie śpi.

- Syreny! - powiedział tamten. - Możesz w to uwierzyć? Prawdziwe syreny!

- Oni tak o sobie nie mówią - poprawił go Connor cicho, gdyż Bart jeszcze spał. - Nie pamiętasz? Nazywają siebie rybogonami.

- Hmm... - mruknął Jez. - Ty mówisz: pomidor, ja mówię... mityczne istoty morskie, o których istnieniu nie miałem pojęcia...

- A jednak istnieją z całą pewnością. - Connor usiadł i spojrzał na środek pokładu, gdzie wciąż leżeli rybogoni.

- Connor... - odezwał się Jez zmienionym nagle tonem.

- Tak? - Trochę się martwię o nasze bezpieczeństwo. - Poważnie? Uważasz, że dzieje się coś podejrzanego, że możemy przepaść... jak kamień w wodę?

- Connor posłał mu szeroki uśmiech. - Wybacz, nie mogłem się powstrzymać.

Jez odpowiedział uśmiechem, ale natychmiast spoważniał. - Przypomniałem sobie dawne opowieści. No więc zgodnie z mitem, syre... to znaczy rybogoni, czy jak tam ich nazwiesz, no więc oni wabili do siebie żeglarzy i brali ich do niewoli.

- Uważasz, że zostaliśmy zwabieni? - zaniepokoił się Connor.

Jez wzruszył ramionami. - Sam nie wiem. Ale przecież jesteśmy na otwartym oceanie, prawda? I może się mylę, ale sędzę, że płynęliśmy całą noc. Pewnie jesteśmy już o całe mile od Diabła.

Connor wyjrzał za burtę. Czy Jez ma rację? Trudno powiedzieć. Po czym odróżnić jeden kawałek oceanu od innego?

- Może to paranoja - ciągnął Jez. - Ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś tu nie gra. Connor zmarszczył czoło. Przypomniał sobie przelotną wizję Grace i wiadomość: „Niebezpieczeństwo. Pod wodą”. Czy próbowała go ostrzec przed załogą Lorelei? Nie był w stanie pojąć, skąd siostra wie, gdzie się znalazł, a co dopiero, że coś mu grozi. Zastanawiał się, czy należy porozmawiać o tym z Jeżem.

- Prawdę mówiąc - zaczął - jest coś, co chciałbym...

- Co się dzieje, chłopaki? - Wesoły głos zagłuszył jego słowa. Bart usiadł i poklepał kolegów po plecach.

- Jak się czują Bukanierzy?

- Zaniepokojeni - odparł Jez.

- Zaniepokojeni? A czym?

- Wiesz, niełatwo mi to mówić. Widzę, że dobrze się czujesz w towarzystwie Kally i w ogóle...

Teraz to Bart zmarszczył brwi. - Jeśli coś ci leży na sercu, Jez, to wal. - Wiesz przecież, co mówią o syre... eee... o rybo-gonach? - Że spotkanie ich przynosi pecha? Bart nie był chyba zdziwiony pytaniem Jeza. Może i on rozważał w duchu te stare opowieści?

Jez kiwnął głową.

- I nie tylko. Bart wzruszył ramionami. - Przejmujesz się jakąś mitologią? Życie nie jest czarno-białe. Pomyśl na przykład o Grace, siostrze Tempesta.' Została porwana przez wampiratów, ale pozwolili jej odejść. A nawet ponoć się nią opiekowali, Mam rację, Connor?

Ten kiwnął głową. Lecz zaraz cień przemknął mu po twarzy, gdy przypomniał sobie relację Grace o starciu z Sidoriem. Zadrżał. Sidorio uwięził Grace w jej kajucie i chciał zaspokoić swoją żądzę krwi. Kapitan wampiratów podjął nadzwyczajne kroki, by ją ocalić od pewnej śmierci. Grace wydawała się całkiem spokojna, kiedy o tym opowiadała, ale może dlatego, że zaraz potem Sidorio został wypędzony ze statku i nikt więcej o nim nie słyszał.

- Tak. Byli w porządku. Wszyscy oprócz jednego.

- O to właśnie mi chodzi - rzekł Bart. - Powinniśmy być otwarci, nie możemy osądzać innych z góry. Wszędzie, gdzie są ludzie, znajdują się dobrzy i źli.

- Ludzie. Ale ci tutaj nie są ludźmi. Zgodzisz się chyba, Bart? Przecież mają wielkie, śliskie ogony zamiast nóg.

Connor sądził, że słowa Jeza rozzłoszczą Barta, ale on zachował całkowity spokój. - Nie wolno ci skreślać całej załogi tylko dlatego, że rybogoni są trochę inni od nas. Zobacz, budzą się -dodał z uśmiechem.

Przyjaciele spojrzeli we wskazanym kierunku. Jeden po drugim rybogoni odsuwali koce i przestawiali wózki do pozycji siedzącej, natychmiast odzyskując energię; bardzo szybko zaczęli śmiać się i rozmawiać. Tak jak przepowiedział Flynn, odpoczynek zwrócił ich nadwodnemu światu.

Chłopcy zobaczyli, że Kally zwraca ku nim głowę i podjeżdża.

- Dzień dobry, piraci! - zawołała wesoło. - Jak się dzisiaj czujecie?

- Fantastycznie! - Bart uśmiechnął się radośnie i wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęła ją. Connor pomyślał, że wyglądają jak para, nie jak osoby, które poznały się zaledwie wczoraj. Kally rzeczywiście była niesamowita. Patrząc na nią, słuchając jej głosu, Connor zaczynał myśleć jak Bart. Kiedy człowiek zapominał o tym rybim ogonie, wydawała się zwyczajną dziewczyną. To znaczy bardzo piękną, inteligentną i dowcipną zwyczajną dziewczyną. Kiedy nadejdzie czas, trudno im będzie - a zwłaszcza Bartowi - opuścić Lorelei. Ale nie dlatego, że rybogoni nie zechcą się na to zgodzić. Nie, oni po prostu byli świetną ekipą pływającą na świetnej łodzi.

Connor postanowił jednak, że nie będzie się martwić. W pełni wykorzysta każdą minutę na pokładzie.

- Hej, chłopaki! - zawołał Joao, podjeżdżając. - Chodźcie na śniadanie! * *

Dzień upływał spokojnie. Po posiłku rybogoni znów wskoczyli do oceanu. Piraci poszli w ich ślady. Tym razem Connorowi, płynącemu obok nowych przyjaciół, wydało się całkiem naturalne, że mają fosforyzujące płetwy i umieją mówić pod wodą.

Po powrocie na pokład, wycierając się ręcznikiem, spytał, kiedy dotrą do Piekielnej Zatoki.

- Nie możesz się doczekać, żeby zanurkować, co? - odpowiedział pytaniem Joao. - Bez obaw, niedługo będziemy na miejscu. A tymczasem jest wiele sposobów, żeby miło spędzać czas.

Connor wyszczerzył zęby. Inaczej niż na Diabłu, dzień na Lorelei był przyjemnie wolny od obowiązków. Chłopak mógł uczyć się gry w karty, pracować nad opalenizną, opychać się doskonałymi przekąskami i paplać o wszystkim i niczym z Jezem, Liką i Joao. Bart im nie towarzyszył. Nie odstępował Kally. Rozmawiali i śmiali się jak starzy przyjaciele. Albo może więcej niż przyjaciele. Jakim cudem mieli sobie tyle do powiedzenia? Connor podejrzewał jednak, że to tylko luźne pogawędki, jakie sam prowadził z rybogonami.

Sterowana przez Flynna łódź płynęła gładko - tak gładko, że przez większość czasu nie zdawali sobie nawet sprawy, że się przemieszczają. A jednak słońce ustąpiło miejsca zmierzchowi, ten zaś usianej gwiazdami nocy. Gdy zjedli kolację, Joao sięgnął po gitarę, a Lika, Teahan i Diani zaczęli śpiewać szanty dla swoich gości. Connor widział, jak Bart bierze Kally za rękę.

Piraci podziękowali oklaskami, a potem Jez i Connor podeszli do Joao.

- Wymiatasz, chłopie - pochwalił go Jez.

- Czy któryś z was gra choć trochę? Nie? Jeśli chcecie, mogę was nauczyć paru akordów.

Po chwili zjawili się przy nich Bart i Kally. Trzeci Bukanier objął ramieniem kolegów. - Chłopaki - zaczął. - Muszę z wami o czymś pomówić. - W takim razie nie będziemy przeszkadzać - powiedziała Kally. Skinęła na Joao, by ruszył za nią. Chłopak z ociąganiem odłożył gitarę. Przyjaciele zostali sami.

Rozdział 7

Rozdarcie

- O co chodzi? - zapytał Connor. - Właściwie to nic takiego - odparł Bart. - Myślę sobie, że kiedy wy jutro przeskoczycie na Diabla, ja raczej zostanę tutaj, na Lorelei.

Jez rozdziawił usta. - Co zrobisz? Connor zmarszczył czoło. Rozumiał pokusę, by pozostać na łodzi nurkowej - zwłaszcza ze względu na Kally - ale mimo wszystko...

- To takie niespodziewane - rzekł. - No wiesz, całe życie chciałeś być piratem. Tak mi powiedziałeś, pamiętasz? Podczas mojej pierwszej nocy na Diabłu.

Bart przytaknął. - Jasne, że pamiętam. Ale wszystko się zmienia... Ludzie się zmieniają. Nie należę do takich, którzy przed podjęciem decyzji spisują sobie „za” i „przeciw”. Czuję ją w sobie. Instynkt mi po prostu podpowiada, żeby zostać tu z Kally i resztą.

- Nie możesz tego zrobić! - Jez w końcu zdołał coś z siebie wydusić. - Connor ma rację! Całe życie poświęciłeś, żeby zostać piratem. Osiem lat... Osiem lat temu zaciągnęliśmy się na Diabla. I teraz chcesz to wszystko porzucić z powodu panny Superkrągłej i instynktu?

Bart spojrział na Jeza spode łba. - Nie nazywaj jej tak - powiedział. - I niech wam się nie wydaje, że to łatwa decyzja. Naradzaliśmy się przez cały dzień. Gdybym mógł się rozdziwić, byłbym bardzo szczęśliwy. Jeden Bart wróciłby z wami na Diabla, drugi zostałby tutaj i pomagał Kally i Flynnowi.

- Pomagał? - Jez był zdumiony. - Co to znaczy: pomagał?

- Flynn się starzeje - wyjaśnił Bart. - Doskonale sobie dotąd radził z opieką nad rybogonami, ale z każdym dniem traci siły. Nie może wiecznie być kapitanem Lorelei. A choć rybogoni są bardzo samodzielni, bez pomocy nie przetrwają.

- No, no... - Jez pokręcił głową. - Widzę, że rzuciła na ciebie czar.

- Czar?

- A jak inaczej można to wytłumaczyć? Wszedłeś na ten statek niecałe dwadzieścia cztery godziny temu jako racjonalnie myślący pirat i nagle jesteś skłonny wszystko dla niej porzucić?

- Nie chodzi tylko o Kally.

- Daj spokój, Bart. Zbyt długo się znamy. Nie będziesz chyba udawał, że masz na uwadze jakiś wyższy cel. Wszyscy wiemy, że na widok pięknych dziewcząt całkiem tracisz rozum. A Kally jest piękna, trudno zaprzeczyć. - Jez znowu pokręcił głową. - Ale nie jest dziewczyną. Jest piękną syreną!

- Rybogonką - poprawił go Bart zaskakująco spokojnie.

- Nazywaj ich sobie, jak chcesz - odparł Jez. - Rybogoni... Kulullu... Okeanidy... Niksy... co za różnica. Wszystko sprowadza się do jednego: są w połowie ludźmi, w połowie rybami i kuszą żeglarzy, prowadząc ich na pewną śmierć.

- Nawet gdyby to była prawda - odrzekł Bart -Kally nic takiego nie robi. Nie mówmy o umieraniu. Mówmy o życiu... tutaj, na Lorelei.

Jez wzruszył ramionami. - To nie jest życie. Nie dla ciebie. To śmierć za życia. Piraci mówili coraz głośniejszy, byli coraz bardziej wzburzeni. Connor zauważył, że rybogoni przerwali swoje zajęcia. Podjechali do nich. Nagle okrążyli Trzech Bukanierów ze wszystkich stron. Chłopak rzucił Joao zakłopotane spojrzenie. Bart i Jez stali nieruchomo, patrząc na siebie gniewnie; wyczerпали już wszystkie słowa i emocje.

Wtem Jez zauważył, że jest otoczony. Rozejrzał się ze złością.

- Do diabła z syrenami! - burknął, odepchnął wózki i wściekły pomaszzerował na drugi koniec pokładu.

Kally zbliżyła się do Barta. Popatrzył na nią ze smutkiem, po czym zerknął na Jeza. - Pogodzi się z tym - zapewniła chłopaka Kally, ściskając jego dłoń. - Potrzebuje tylko czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli. Obiecuję, że zmieni zdanie, zanim jutro wrócimy na Calle del Marinero. Zobaczysz.

Connor zerknął w stronę dziobu. Jez stał samotnie. Nie mógłby odejść dalej, nie wyskakując za burtę, a na otwartym oceanie nie byłby to dobry pomysł. Obejrzał się na Barta. Czy to naprawdę koniec Trzech Bukanierów? Może instynkt mówił Bartowi, że tak będzie dobrze, ale instynkt Connora podpowiadał zupełnie co innego. Coś mu się nie podobało na Lorelei.

I znowu zobaczył twarz Grace. Usłyszał jej ostrzeżenie: „Niebezpieczeństwo. Pod wodą”. Teraz już wiedział, o co jej chodziło. Tym niebezpieczeństwem była Kally i pozostali rybogoni.

Kusili Barta, by porzucił przyjaciół, rozstał się ze swoją piracką rodziną. Connor nie chciał teraz wspierać żadnej ze stron, ale musiał iść do Jeza. Bart miał Kally. Jez został całkiem sam.

Rozdział 8

Rekin

Pięćset sążni pod powierzchnią odpoczywa Sidorio - zbuntowany wampirat. To miejsce bardzo oddalone od światła. Ciemność przenika tutaj wszystko, sączy się przez jego uszy, nos i oczy równie skutecznie jak woda. To mu się podoba. Światło może być takie groźne... To inni lgną do światła, a boją się ciemności. Uśmiecha się. Jakże nienawistne byłoby dla nich to miejsce.

A jednak wiele istot tutaj rozkwita. W tej chwili Sidorio obserwuje szkółkę śluzie. Uczują na strzępie martwego walenia odrzuconego przez jakiegoś drapieżcę bliżej powierzchni. Śluzice nie są podobne do ryb - nie mają zwiewnych kształtów ani błyszczących łusek. Przypominają raczej grube glisty. Te marnie uformowane stwory nadają się tylko do pożerania martwego mięsa - mięsa, którego nie potrafią same zabijać.

„Przecież nie mają nawet zębów” - myśli Sidorio i przesuwa językiem po własnych złotych kłach.

Lecz estetyczne braki śluzice nadrabiają sprytem. Może i nie mają zębów, ale wsysają mięso i oczyszczają kości w takim tempie, że samo obserwowanie ich przyprawia o mdłości. Może i wyglądają paskudnie, ale są bezlitośnie sprawne. Sidorio ceni takie połączenie.

Teraz patrzy, jak w atramentowej głębi pojawia się nowy gość - rekin młot. Teoretycznie niewiele piękniejszy od śluzie, ale w opinii Sidorio osobowość liczy się bardziej niż wygląd. Smukły i zręczny rekin przepływa nad śluzicami. Ścierwojady nie przerywają uczyty aż do ostatniej chwili, po czym jednak odpływają. Nie warto spierać się z rekinem. Sidorio patrzy, jak drapieżnik zbliża się i nadgryza mięso walenia. Może niezbyt mu smakuje, może chciał tylko pokazać, kto tu rządzi... W każdym razie resztę pozostawia nietkniętą i płynie dalej. Śluzice natychmiast wracają do ssania i rozdzierania. To wszystko, co potrafią. To wszystko, czym są...

Rekin zbliża się do Sidorio. Wampirat natychmiast rozpoznaje u niego znajomą arogancję, właściwą tym nielicznym istotom, które opanowały zarówno ciemne wody głębin, jak i jasne

wody powierzchni. Wyciąga rękę i rekin trąca ją pyskiem. Potem ryba lekko się podnosi - teraz patrzą sobie prosto w oczy. Równi.

„Tak - myśli Sidorio. - Masz rację. Jesteśmy tacy sami. Obaj znamy światło i ciemność. Możemy wybierać .

Spogląda rekinowi w oczy i widzi, że ten jest w nastroju do żartów. Odpływa, a Sidorio podąża za nim.

Ma wrażenie, jakby rekin go wzywał. Jak gdyby wyżej, na płytszych wodach, pojawiła się jakaś rozrywka.

Wampirat szybko płynie za drapieżcą. Pora na pewien czas zostawić te ciemne wody.

Chce trochę się zabawić.

Rozdział 9

Piekielna Zatoka

W świetle porannego słońca wody Piekielnej Zatoki wydawały się niezmacone. „Musieliśmy płynąć całą noc, żeby tu dotrzeć” - pomyślał Connor. Czy Flynn w ogóle nie sypia? Nic dziwnego, że tak mizernie wygląda.

Mimo nazwy było to piękne miejsce. Gdy się rozejrzył, ogarnęło go uczucie głębokiego spokoju. Gładką taflę wody przecięła nagle para delfinów. Patrzył z zachwytem, jak zwierzęta skaczą wzdłuż jachtu. Niewiele jest piękniejszych widoków zaraz po przebudzeniu.

Ale kiedy delfiny zniknęły, powróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Spojrzył na Jeza, który wciąż przewracał się z boku na bok. Po drugiej stronie było puste miejsce - Bart nie przyszedł na noc. „To już się dzieje - stwierdził w duchu Connor. - Jeszcze nie odpłynęliśmy, a Bart już zrywa łączące nas więzy”.

Podniósł głowę i zobaczył parę rybogonów śpiących pośrodku pokładu na wózkach z pochylonymi oparciami. Bart leżał na ławie niedaleko Kally. Spostrzegłszy ich, Connor podjął decyzję. Musiał wykorzystać sposobność.

- Obudź się, Jez! - szepnął, szturchając przyjaciela.

- Cooo?

- Wstawaj! - syknął znowu. - I postaraj się nie narobić hałasu.

Jez otworzył oczy i zamrugał w świetle słońca. - Która godzina? - zapytał. - To bez znaczenia - odparł stanowczo Connor. - Rybogoni jeszcze śpią. Mamy ostatnią szansę, żeby porozmawiać z Bartem na osobności, przemówić mu do rozsądku.

Jez kiwnął głową. Najwyraźniej dobrze pamiętał wczorajsze wydarzenia. - Zaczekaj tu na mnie - dodał tymczasem Connor. - Przyprawdę go. Jak najciszej ruszył boso po pokładzie. Po kilku krokach stał już obok rybogonów. Delikatnie, ale zdecydowanie wyciągnął rękę do ramienia Barta.

Zanim jeszcze zdążył go dotknąć, Bart otworzył oczy i powitał Connora znajomym uśmiechem.

- Możemy pogadać? - szepnął Connor. - Ale tam. Na osobności. - Jasne - odparł spokojnie Bart. Razem odeszli na dziób. Jez na powitanie uniósł dłoń, a Bart przybił mu piątkę - bezszelestnie.

- Przepraszam - powiedział Jez. - Za wszystko, co wczoraj powiedziałem.

- Ja też - oznajmił Bart. - Dręczyło mnie to przez całą noc. W ogóle nie spałem. Nie chciałem was urazić, chłopaki. Jesteście moimi najlepszymi kumplami. Wiecie o tym, prawda? Obaj przytaknęli.

- I dlatego chcieliśmy się upewnić, że naprawdę przemyślałeś sobie tę decyzję - uzupełnił Jez.

- Przemyślałem - zapewnił ich Bart, ale w jego głosie było coś, co obudziło w Connorze wątpliwości co do prawdziwości słów przyjaciela.

- A może najpierw wrócimy na Diabła? - zaproponował Jez.

Ale Bart natychmiast pokręcił głową. - Poczekaj - rzucił Jez. - Proszę, wysłuchaj mnie! Zastanów się. Może wrócimy na Diabła i pogadamy o tym z kapitanem Wrathe'em.

- Kapitanem Wrathe'em? - powtórzył Bart.

- Na pewno będzie miał pomysł, jak pomóc tym tutaj. Nie sądzisz, Connor?

Connor już wyobrażał sobie tę scenę. Bart mówi Moluccowi, że po ośmiu latach służby postanowił zerwać piracki kontrakt, a czyni to, by zaopiekować się całym statkiem rybogonów. Widział te ciekawe odcienie czerwieni, jakie wystąpią na twarzy Molucca... Natychmiast odepchnął nieprzyjemny obraz.

- Myślę, że obgadanie sprawy z kapitanem to naprawdę dobry pomysł - powiedział. - On nie tylko jest naszym dowódcą, Bart. Słyszałem, jak mówi, że traktuje cię jak syna, którego nigdy nie miał.

- Naprawdę? - Barta wyraźnie zdziwiła ta wiadomość. - Molucco tak powiedział?

- Tak. - Connor źle się czuł, opowiadając takie kłamstwa... a w każdym razie naciągając prawdę. Ale nie cofnąłby się przed niczym, aby tylko ratować kolegę.

- Może rzeczywiście trochę się pospieszyłem - przyznał Bart. - Znacie mnie, chłopcy. Czasami serce bierze górę nad rozsądkiem.

Widząc, że go odzyskują, Jez ścisnął ramię przyjaciela. - Nic w tym złego, stary. Wszystkim nam się to czasem zdarza. A Kally to śliczna dziewczyna. Nic dziwnego, że zawróciła ci w głowie.

Bart spojrzał na nią z daleka. Connora przeszył dreszcz, gdy zauważył, że rybogoni się budzą. Mieli coraz mniej czasu. Jeśli nawet byli bliscy zwycięstwa, czuł, że na tym jeszcze nie koniec.

- Oni mnie potrzebują - powiedział Bart. Jez chwycił go za podbródek i zmusił do spojrzenia na siebie. - Nie - odparł łagodnie. - Potrzebują po prostu kogoś. I my możemy im pomóc znaleźć tego kogoś. Ty jesteś przeznaczony do innych rzeczy. Do dowodzenia w przyszłości własnym pirackim statkiem...

- A poza tym - dorzucił Connor - my też cię potrzebujemy. Jez i ja, twoi kumple. Twoja piracka rodzina. Molucco i Cate. Czy możesz sobie wyobrazić, co poczuje Cate, kiedy usłyszy, że odszedłeś i nawet się nie pożegnałeś?

- Cate... - powtórzył Bart, a wyraz jego twarzy świadczył, że to imię zrobiło na nim wrażenie.

Connor pogratulował sobie w myślach mistrzowskiego posunięcia, ale nie mógł świętować zbyt długo.

Kally siedziała już prosto w swoim wózku i patrzyła w ich stronę. Może to była tylko gra świateł, ale odniósł wrażenie, że jej oczy pałają gniewem. Dziewczyna odwróciła się do Joao, szepnęła mu coś do ucha i teraz już oboje patrzyli na trójkę piratów.

Connorowi natomiast skończyły się argumenty. Jego kumpel sam musiał podjąć decyzję. - Nie martw się - powiedział Bart. - Wiem, co powinienem zrobić.

Rozdział 10

Głębia

- O rany! - zawołał Connor, dostrzegając tuż pod powierzchnią ławicę srebrnych rybek. - Woda jest całkiem przezroczysta. Pewnie świetnie się tutaj nurkuje! - Wkrótce się przekonasz! - powiedział ze śmiechem Joao. - Jesteś gotowy? - Jasne! Nie mógł powstrzymać podniecenia. Nawet z burty widział bogactwo barwnego morskiego życia, które na niego czekało. Siedząc na krawędzi w piankowym kombinezonie, w ciepłych promieniach słońca, nie mógł uwierzyć, że wszystko tak dobrze się poukładało. Trzech Bukanierów znów tworzyło jedność! Rybogoni całkiem spokojnie przyjęli zmianę decyzji Barta. Nawet Kally zapewniała, że nie jest jej przykro. A Flynn zaśmiał się tylko i powiedział, że i tak nie był jeszcze gotów oddać stanowiska kapitana. A więc to była burza w szklance wody - spowodowana euforią Barta z powodu wyjścia na przepustkę, a być może także przedziwnym czarem Lorelei i jej załogi.

- Nie mogę się doczekać - oświadczył Jez, siadając obok, również w piankowym kombinezonie. - Będzie niezmiernie miło, co?

Connor kiwnął głową. On także chciał się już zanurzyć. Przez cały rano trenowali oddech i czuł, że jest gotowy. Ćwiczenie nazywało się pranajama, a jego celem było spowolnienie pracy serca. Im wolniej biło, tym głębiej mógł zejść nurek.

Bart i Kally dołączyli do nich.

- Kalipso! - zawołał z rufy Flynn. - Możesz tu podjechać na chwilę? Dziewczyna wzruszyła ramionami i zawróciła wózek. - Nawet chwili spokoju! - mruknęła i zanim odjechała, przyjaźnie szturchnęła Barta w ramię.

- Przyjęła to dobrze - zauważył Jez, dopinając kombinezon.

- Długo rozmawialiśmy - wyjaśnił Bart. - Na pewno pozostaniemy w kontakcie.

Usiadł obok przyjaciół. Razem przygotowali się do zejścia pod wodę. Gdy Connor wykonywał polecenia znajdującego się już w oceanie Joao, czuł, jak jego puls zwalnia. Ciało się

odprężało, choć wiedział, że nadal jest podekscytowany i pełen adrenaliny. Pływanie w Piekielnej Zatoce było naprawdę cudownym zakończeniem weekendu.

Podobnie jak Jez i Bart przewiesił za burtę stopy, na których miał płetwy. Dwaj rybogoni, Loic i Musimu, popłynęli do dna, aby umocować obciążoną linę.

- Jak tam jest głęboko? - zawołał Bart, gdy Loic wypłynął na powierzchnię.

- Nie musisz wiedzieć - odparł z uśmiechem rybogon. - Tutaj nie chodzi o głębokie zejście, lecz o odkrycie podwodnego świata na nowo. Odkrycie samego siebie...

- On ma rację - zgodził się Joao. - Najważniejsze to rozluźnić ciało i umysł. Nie starajcie się płynąć w dół za szybko. Raczej spokojnie i powoli, by jak najlepiej wykorzystać zapas powietrza. Trzymajcie się liny. Będziemy niedaleko. - Kiwnął głową. - Pojedynczo. Najpierw Connor, potem Jez, a na koniec Bart.

Connor spojrział na towarzyszy. Stuknęli się na szczęście zaciśniętymi pięściami. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! - Dobra! - krzyknął Bart. - Schodzimy! Connor włożył maskę na twarz i zeskoczył nogami do przodu. Kiedy uderzył o wodę, zobaczył Jeza tuż za sobą. Potem spostrzegł, że do Barta podchodzi Flynn. Kapitan powiedział coś, czego Connor nie usłyszał.

- Muszę pomóc Flynnowi z grotzagle! - zawołał z góry chłopak. - Zaczynajcie beze mnie. Zaraz was dogonię.

Connor dał znak, że zrozumiał. I nagle na krąg wody przed nim padł promień światła. Ku swemu zdumieniu zobaczył twarz Grace. Siostra popatrzyła na niego w skupieniu i przemówiła:

„Niebezpieczeństwo. Pod wodą”.

„To niemożliwe - pomyślał. - Grace nie może tu być. Po prostu jestem trochę zdenerwowany. Nic mi nie będzie. Joao, Loic i Musimu są przy mnie. Nie mam się czego obawiać”.

Raz jeszcze zaczerpnął powietrza.

Płetwy zmarszczyły taflę wody i wizja Grace się rozwiła. Connor potrząsnął głową, a potem wypłukał swoją maskę. Włożył ją ponownie i zanurkował, trafiając na górną część obciążonej liny.

- Dobrze, Connor - usłyszał uspokajający głos Joao.

- Nie spiesz się. Oswój się z wodą.

Connor już nie był zdziwiony, że pod wodą słyszy głos rybogona. Wiedział tylko, że ten głos dodaje mu otuchy. Dostosował ruchy do swojego naturalnego rytmu, wyciągnął rękę do liny i ruszył w dół. Kiedy jego ciało się rozluźniło, wszystko wyglądało inaczej. Czuł powolne, ale regularne uderzenia serca, czuł wszystkie mięśnie aż po czubki palców u stóp, jakby rzeczywiście zlał się w jedno z wodą. Być może tego właśnie doświadczali rybogoni.

- Brawo! - odezwał się z boku Joao. - Możesz puścić linę, jeśli chcesz. Connor spojrzął na swoje dłonie. Rozprostował palce i kilka razy machnął rękoma. Joao dogonił go szybko. - Bardzo dobrze - powiedział. - Masz wyjątkowo dużą pojemność płuc. Zeszli chyba na ponad dwadzieścia metrów. Woda była bardziej błękitna niż gdzie indziej. Tuż przed nosem nurka unosiła się dostojnie płaszczka.

- Spokojnie - rzekł Joao. - Ona nic ci nie zrobi. Teraz oboje należycie do tego świata. Razem obserwowali niezwykłą grację ruchów płaszczki. Connor czuł, że przeszedł wtajemniczenie.

Zadziwiające, że tyle tygodni spędzał na powierzchni tego samego oceanu. Tam, w górze, mógł poznać tylko połowę prawdy.

I nagle poczuł ucisk w płucach. Zmarszczył brwi. Nie chciał, żeby to się skończyło. Jeszcze nie. U jego boku natychmiast pojawił się Joao.

- Wszystko w porządku, Connor. Nie masz się czym martwić. „Łatwo ci mówić” - pomyślał. W głowie pulsowały mu ostrzegawcze sygnały. - Jeszcze metr czy dwa - zachęcił go Joao. - Jesteś prawie na dnie. Connor się zawahał. Słyszał, że czasem ciało jest silniejsze, niż sądzi umysł. - Skup się na oddechu - radził Joao. - Pomyśl, jak dobrze się poczujesz, kiedy dotkniesz dna!

Connór zobaczył stadko pomarańczowych błazen-ków. Nie mógł teraz zawrócić. Sięgnął do liny i zszedł głębiej.

- Brawo, Connor - pochwalił go Joao. - Jeszcze parę metrów. Kątem oka Connor zauważył, że podpłynął do nich Loic. Czy wszystko było w porządku? Przecież Loic powinien dotrzymywać towarzystwa Jezowi. Może Jez już zawrócił? Może nie miał tak pojemnych płuc?

- Wszystko w porządku - powtórzył Joao, wyczuwając jego zdenerwowanie. - Świetnie sobie radzisz, Connor. Nie zatrzymuj się teraz.

Ale nagle chłopak zrozumiał, że nie, nic nie jest w porządku. Nawet zanim jeszcze zobaczył Jeza, bezwładnego, z zamkniętymi oczami, niesionego gdzieś głębiej przez Musimu. Znienacka poczuł, że czyjeś ręce chwytają go z obu stron i ciągną w dół.

- Dalej, Connor - mówił Joao tym samym łagodnym tonem. - Czy chcesz zejść w głębiej... w martwą głębiej?

I nagle Connor zobaczył dno oceanu, ale zamiast tryumfu poczuł tylko lodowaty strach. Rybogoni nie sprowadzili ich tutaj na lekcję nurkowania. Zamierzali usunąć wszelkie przeszkody powstrzymujące Barta przed pozostaniem na Lorelei. Chcieli ich zabić! Czy naprawdę tak bardzo potrzebowali nowego kapitana?

Ale przecież ten plan miał oczywistą wadę. Bart nie zostanie z Kally, jeśli się dowie, że rybogoni zamordowali jego najlepszych przyjaciół. Tylko że to nie będzie wyglądało na morderstwo, prawda? Po prostu tragiczny wypadek. Connor wyobrażał sobie, jak przekonująco Joao przekáže wieści. Smutne oczy, mokre od łez, i opowieść o tym, jak mimo jego i Loica próśb Connor i Jez przekroczyli granicę własnej wytrzymałości...

Serce Connora biło szybko... a to była ostatnia rzecz, na jaką mógł sobie teraz pozwolić. Czuł na ramionach ucisk dłoni Joao i Loica. Przed sobą, na dnie oceanu, ujrzał złowieszczy widok: szkielet w łańcuchach. W dłoni martwego marynarza spoczywało zardzewiałe ostrze.

- Patrz! - zaśmiał się Joao. - Nie jesteś pierwszym piratem, który dotarł na dno. Connor przyjął te słowa ze zgrozą, uświadamiając sobie rozmiary spisku. - To musiało się tak skończyć - wyjaśnił rybogon, jakby czytając mu w myślach. - Mogliście pozwolić mu odejść. Wy nie potrzebujecie jeszcze jednego pirata, ale my nie przeżyjemy bez nowego kapitana.

„Więc potraficie zabić, byle go pozyskać” - chciał powiedzieć Connor, ale otwarcie ust tylko by przyspieszyło jego śmierć. Powoli pokręcił głową, mając nadzieję, że Joao dostrzeże w jego oczach nienawiść.

- Nie patrz tak na mnie - rzucił Joao. - Robię tylko to, co najlepsze dla mojej załogi. To, co ty zrobiłbyś dla swojej. - Uśmiechnął się. - Jeden za wszystkich...

- ...wszyscy za jednego - dokończył Loic.

Dwaj rybogoni zachichotali. Był to przerażający odgłos.

Connor przymknął oczy. Mimo ataku paniki zdołał spowolnić oddech. Ale na jak długo?

- Traci powietrze - zauważył Loic. - Zostawmy go. Sprawa załatwiona. Mamy nowego kapitana.

- Właściwie to szkoda... - Connora dobiegł cichnący głos Joao. - Wydawał się całkiem zabawny. I ten drugi też. Przyjemnie było mieć sensownego przeciwnika w kartach.

Oczy Connora zalała ciemność. Poczuł, że uderza plecami o dno. Nagle wszędzie zapanował martwy bezwład. Rybogoni odpłynęli, być może chcieli sprawdzić, co z Jeżem. Connor pomyślał o przyjacielu. Czy Jez jeszcze się trzyma, czy już się poddał najgorszemu? Próbował odpędzić strach.

Nie po raz pierwszy miał zginąć w wodzie. Cheng Li, piratka, która uratowała go przed utonięciem, mówiła, że to lekka śmierć. Ale nie zamierzał sprawdzać. Myśl o Cheng dodała mu energii. Ona lubiła walkę; ona by nie dała za wygraną. Nawet w takiej sytuacji. Wyobrażał sobie, jak mówi do niego: „Czy po to cię ocaliłam, chłopcze, żebyś teraz dał się zabić syrenom?”.

Otworzył oczy i odkrył, że leży twarzą w twarz ze szkieletem martwego pirata. Zardzewiała broń tkwiła luźno między kośćmi jego palców. „Pożyczę ją” - powiedział sobie w duchu i sięgnął po rękojeść. Wyjęcie ostrza było łatwe, jakby martwy pirat pomagał mu zza grobu. Ale dopiero teraz zaczęło się najtrudniejsze. Poruszanie bronią w wodzie nie było łatwe. Wymagało najwyższego wysiłku, a Connor wiedział, że niewiele sił mu pozostało. Aby wrócić cało na powierzchnię, musiał oszczędzać energię i wstrzymywać oddech tak długo, jak to było możliwe.

Z posępnym uporem popłynął w górę, mocno ściskając oręż w prawej ręce. Loic znieruchomiał i odwrócił głowę, obserwując, jak Connor odbija się od dna.

- Ma krzepę! - Chłopak usłyszał głos Joao. Ten drwiący ton tylko wzmógł jego determinację. Rybogoni ruszyli z powrotem ku niemu, ale czekała ich niespodzianka. Kiedy Loic podpłynął bliżej, Connor się zamachnął.

Był jednak zbyt wolny. Loic uchylił się ze śmiechem.

- Niech nasz pirat popływa sobie z tym żelastwem - prychnął. - Taki złom prędzej go utopi niż uratuje.

Connor miał ochotę krzyknąć z rozczarowania. Nie mógł walczyć i kończyło mu się powietrze. Uzbrojony czy nie, umrze tutaj, na tym pirackim cmentarzu. Pomyślał o Grace. Próbowała go ostrzec, ale nie posłuchał, nie zwracał na nią uwagi. A teraz już jej nie zobaczy. Nagle woda wokół zabulgotała, a potem pojawiła się sylwetka kolejnego nurka. Z wolna odsłoniła się znajoma twarz... To był Bart! Przybył mu na ratunek!

Przybysz wyrwał broń z dłoni Connora. Ruszył szybko do przodu, uniósł ostrze i przeciął ogon Joao.

Rozległ się przenikliwy krzyk. Ciemna krew wypełniła wodę, a potem rozpętało się piekło.

Rozdział 11

Koniec

Słyszając rozpaczliwy krzyk Joao, inni rybogoni ruszyli mu na pomoc. Chłopak tracił bardzo dużo krwi, przypominającej w wodzie czerwony dym.

Bart pochwycił nieprzytomnego już Connora, wypuścił z ręki broń i wybił się mocno w górę, w stronę przejrzystej wody. Tymczasem ostrze opadło na dno, ku dłoniom szkieletu.

Rybogoni krążyli wokół Joao, którego odcięty ogon skręcał się w drgawkach. Strumienie krwi zwabiły trzy pływające w pobliżu rekiny młoty. Wyczuwając ofiarę, wpłynęły w samo serce purpurowej chmury, głodne i żarłoczne. Niektórzy rybogoni natychmiast umknęli ku powierzchni, ale Loic i Musimu zostali, trzymając między sobą rannego towarzysza. Tkwili w potrzasku, nie mogąc podjąć żadnej decyzji.

Rekiny zbliżały się szybko, a zęby miały bezlitośnie ostre. Nie zastanawiały się nad niezwykłym kształtem ryb, na które przypuściły atak. Loic i Musimu mogli ocalić tylko siebie. W końcu wypuścili bezwładne ciało Joao, oddając je drapieżcom.

Bart tymczasem sunął ku powierzchni. Nie wiedział, kiedy Connorowi skończy się powietrze. Jez z pewnością był już martwy. Ale nie potrafił o tym myśleć, wolał skupić się na ocaleniu Connora, na parciu ku górze. Zaczynał się już dusić, ale nie rezygnował. Był to winien swoim przyjaciółom.

W dole rekiny szybko poradziły sobie z pierwszą ofiarą. Teraz krążyły wokół Loica i Musimu - ale po chwili zjawiał się nowy drapieżnik. Natura ma swoją hierarchię, toteż oddały zdobycz, tak jak wcześniej śluzice.

Sidorio podpłynął bliżej. Spozstrzegł zdumienie w oczach Loica i Musimu. Wiedział, co myślą: „Skąd wziął się tutaj człowiek? I dlaczego rekiny go nie pożarły?”. Ale - podobnie jak oni - wampirat nie był ani człowiekiem, ani rybą. I rybogoni wkrótce mieli się o tym przekonać. Woda pociemniała od krwi Joao. Jej zapach pobudził Sidorio, który przeobraził się w obecności przerażonych rybogonów. Jego źrenice były już płomiennymi otchłaniami, nie pozostał w nich

nawet ślad człowieczeństwa. A kiedy rozchylił wargi, dwa złote kły błysnęły równie złowrogo, co zęby rekina. Nie mieli szans na ucieczkę.

Bart usłyszał krzyki w chwili, gdy wreszcie poczuł na twarzy podmuch wiatru. Ciągnął za sobą Connora - chłopak był nadal nieprzytomny. Musiał wejść z nim na pokład...

Z pokładu Lorelei patrzyły na niego dwie osoby. - Pomóżcie nam! - wycharczał z trudem Bart. Ani Kally, ani Flynn nawet się nie poruszyli. Całkiem jakby go nie słyszeli. - Pomóżcie! - ponaglał ich. - Joao nie żyje, Loic i Musimu też! W dole są rekiny! Wciągnijcie nas!

A jednak Kally i Flynn pozostali nieruchomi. - Proszę! - krzyczał Bart. - Connor jest nieprzytomny, a Jeza nie mogłem znaleźć! Byłem gotów zrezygnować dla was ze wszystkiego! Nadal mogę to zrobić! Jeśli pozostały w was jakieś ludzkie uczucia, wpuście nas na pokład!

Nawet teraz Kally i Flynn byli nieporuszeni. Może wstrząsnęło nimi to, co się wydarzyło. A może po prostu nie potrzebowali już Barta.

- Odwróć się... Bart posłuchał tego szeptu... Zobaczył za sobą małą łódkę. Dwie dłonie w rękawicach sięgały w jego kierunku. Bez chwili wahania, ostatkiem sił, dźwignął ciało Connora nad wodę. Nieznajomy wciągnął je do łódki. Wtedy Bart popełnił błąd. Spojrzał w dół i dostrzegł spiralę krwi. Poczuł, jak płetwa ociera się o jego stopy... Ale wtedy obcy człowiek złapał go za rękę i w końcu on także był bezpieczny.

Spojrzał z wdzięcznością na wybawcę, którego twarz zakrywała ciemna maska.

- Jesteś zmęczony, przyjacielu - znowu usłyszał szept. - Dzielnie walczyłeś, teraz jednak musisz odpocząć.

- Kim jesteś? - zapytał Bart.

Czuł ogromne znużenie. Oczy zaczęły mu się zamykać.

Ich dobroczyńca bez słowa chwycił za wiosła, a wtedy chłopak zauważył kogoś jeszcze leżącego w łodzi.

- Jez! - wykrzyknął.

- Teraz śpi - oznajmił tajemniczy przewoźnik. - Podobnie jak Connor. Ty również musisz zasnąć. We właściwym czasie spotkamy się znowu, Bart. Jestem ci winien podziękowanie.

„Skąd on zna nasze imiona?” - głowił się pirat, uważnie obserwując maskę. Ale nie znalazł żadnej podpowiedzi. Zresztą nie potrafił dłużej walczyć ze zmęczeniem... Osunął się bezwładnie, zapadając w sen.

- Nic im już nie zagraża - powiedział zamaskowany mężczyzna. Łódka sunęła do wyjścia z zatoki.

Rozdział 12

Na powierzchni

Connor otworzył oczy i oślepiły go światła Calle del Marinero. Leżał na pokładzie niewielkiej barki. Mgła wypełniała jego umysł. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył leżących obok Barta i Jeza, a równocześnie ostry ból przeszył mu czaszkę. Jęk chłopaka obudził dwóch pozostałych.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotał kompletnie zdezorientowany Bart.

- Na Calle del Marinero - odpowiedział Connor.

- A jaki mamy dzień? - zainteresował się Jez.

- To nieistotne - stwierdził Bart. - Ale dlaczego jesteśmy tylko w bieliźnie? Gdzie się podziały nasze ubrania?

To były rozsądne pytania, ale choć wyteżał umysł, nic nie mógł sobie przypomnieć.

Twarz Barta nabrała nagle koloru żywej zieleni.

- Chyba zaraz zwymiotuję - oznajmił spokojnie i wychylił się za burtę. Connor potrząsnął głową, po czym skrzywił się boleśnie. - Au! Musi pamiętać, żeby przez jakiś czas tego nie robić... - Już lepiej. - Bart wytarł usta. - No cudownie - mruknął Jez. Connor zdołał w końcu usiąść. I zauważył znajomą sylwetkę statku zbliżającego się do pływającego miasta.

- To Diabło! - zawołał. - Przy płynęli po nas!

- Tak szybko? - zdziwił się Bart.

- A więc musi być dzisiaj niedziela - uznał Jez.

- Najwyraźniej - zgodził się Connor. - Czy któryś z was pamięta, jak minęły nam te dwa dni przepustki?

Jez pokręcił głową. Bart wzruszył ramionami. Ale zaraz uśmiechnął się szeroko. - Musiała być niezła impreza - stwierdził. - Skoro jesteśmy prawie goi i niczego nie pamiętamy...

- Pewnie tak... - przyznał Connor. Nagle coś zauważył i też się uśmiechnął. - Patrzcie, mam tatuaż!

Wyciągnął rękę i wskazał im po wewnętrznej stronie przedramienia trzy kordy o splecionych rękojęściach. Skóra pod tatuażem była zaczerwieniona i podrażniona, ale wyglądało to całkiem nieźle.

Bart i Jez obejrżeli sobie ręce.

- Hej! - zawołał Bart. - Wszyscy takie mamy!

- Są identyczne! - Jez przyjrzał się dokładnie.

- No, prawie - poprawił go Connor. - Patrz, Bart ma dodatkowy element. Trochę niżej.

Obejrżeli obrazek z bliska.

- Rzeczywiście - stwierdził Bart. - Co to takiego?

- Litera - uznał Jez. - Litera K.

Bart nie krył zdziwienia. - Dlaczego K? - Nie mam pojęcia. - Jez pokręcił głową. - Ja też nie - dodał Connor. - Zagadkowa sprawa. - Ale tatuaż jest rzeczywiście niczego sobie. - Pamiątka po pierwszej przepustce na ląd Trzech Bukanierów - zaśmiał się Jez. - Miejmy nadzieję, że następną lepiej będziemy pamiętać - burknął Bart. - A przy okazji, czy ktoś jeszcze poza mną ma wrażenie, że głowa mu pęka na pół? Jak muszla?

- Tak! - zgodnie odparli Jez i Connor.

- No to jeden za wszystkich... - rzucił cicho Bart.

- ...wszyscy za jednego - odpowiedzieli niemal szeptem jego przyjaciele.

Diabło zacumował w zatoce nieco oddalony od lądu. Łatwiej było podpłynąć do niego małą łódką z brzegu niż manewrować dużym statkiem w zatłoczonej przystani.

Bart odcumował barkę i ruszyli. Connor znowu chwycił ster. Kiedy się odwrócił, by raz jeszcze rzucić okiem na Calle del Marinero, głowa zaboląła go jeszcze bardziej. Na moment przymknął powieki i wtedy przez jego umysł przemknęła dziwaczna sekwencja obrazów: jakiś zapychały bar... Dwie splecione dłonie... Koła... Piękny jacht... Karty do gry... Twarz Grace... Niebezpieczeństwo. Pod wodą... Twarz dziewczyny... Machnięcie ogona... Magia... Pod wodą... Płaszczka... Ławica pomarańczowych rybek... A potem ciemność.

Otworzył oczy, starając się zapamiętać te wizje, ale nie zdołał. Zastąpiła je uśmiechnięta twarz Barta.

- Drobną sugestią, kolego. Niełatwo utrzymać kurs na ślebaka. Connor mocniej ścisnął rumpel i pokierował łódką w stronę statku. Jego pierwsza, tajemnicza przepustka na ląd dobiegła końca.

* *

Po otwartym oceanie dryfuje w ciemności smukły jacht. Sidorio przechadza się po pokładzie Lorelei. Pozostali przy życiu rybogoni siedzą skuleni w swoich wózkach. Wydają się słabi i zrozpaczeni. Z kilku ceratowych worków kapie krew.

- Słyszałem - mówi Sidorio - że szukacie nowego kapitana: No więc macie szczęście: mogę natychmiast objąć to stanowisko.

Nie robi na nim wrażenia pełen pogardy wzrok Kally, Teahana, Liki i innych ocalałych. W jego mniemaniu tylko krok dzieli pogardę od szacunku. Uśmiecha się.

- Dzisiaj mi zaimponowaliście - mówi. - Widzę, że możecie być całkiem sprytni, jeśli tylko podniesiecie trochę stawkę. Wykonaliście parę chytrych posunięć. Dostrzegam też godny aprobaty apetyt na przemoc. Tym możemy się zająć... wzmocnić go, podnieść na wyższy poziom.

Ogląda się i widzi Flynna, który utykając, idzie ku niemu po pokładzie. Jest załamany. Sidorio kręci głową.

- Nie sądzę, żebyś nam się do czegoś przydał, dziadku. Nie teraz, gdy zapanował nowy porządek. - Parska śmiechem. - Usiądź gdzieś i zaczekaj, aż wymyślimy, co z tobą zrobić.

Patrzy na resztę załogi. Wyczuwa, że przyglądają mu się w skupieniu. Są przerażeni. Właśnie tak, jak lubi.

To początek nowego rejsu... Ekscytująca myśl. Po tylu latach na morzu - niezliczonych latach - wreszcie rusza w drogę do właściwego celu. Zupełnie jakby zbudził się z najgłębszego snu. Jakby wypłynął z najczarniejszych głębi. Każdy, kto pływa po oceanach, będzie znał jego imię. Znał i szanował. Bał się.

Czeka go jeszcze wiele pracy.